

Krystyna Konecka

# Koreański Koń Czhollima



<http://maopd.wordpress.com/>

*Po raz pierwszy wydano w 1989 roku przez Krajową Agencję Wydawniczą*



**Maoistowski Projekt Dokumentacyjny**

**2012**

## Zamiast wstępu

Chłodny październikowy świt zwabił mnie do okna. Przed tygodniem zdjęto moskitiery, co oznacza, że o tej porze roku można wpuszczać do pokoju świeże powietrze bez obawy o inwazję owadów. Stoję tak od godziny, obserwując po raz któryś z rzędu budzący się Phenian (Pyongyang), co znaczy morska równina. Od 1972 roku Phenian jest konstytucyjną stolicą KRL-D (przedtem był nią Seul). Mój ostatni poranek w Korei. Jest szósta. W odległej o dziewięć tysięcy kilometrów Polsce zegary wybiły godzinę dwudziestą drugą.

Półwysep Koreański. Na wielkiej mapie świata drobny przecinek zamykający ląd azjatycki, za którym już tylko rozsypana interpunkcja wyspiarskiej Japonii i Pacyfik. Korea Północna, pełniej - Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna (Dzosen Mindzudzuyi Inmin Konghwaguk). Powierzchnia — 120,5 tys. km<sup>2</sup>, ludność — ponad 18 milionów. Pięć tysięcy lat wspólnej z Południem historii. Wiek XX rozgraniczył naród i ziemię.

Z wysokości samolotu, który z głębokiej nocy gdzieś nad Chinami przeniósł mnie w ciągu kilkunastu minut w środek dnia poprzedzony nagłym wschodem rubinowego słońca, górzysta, zachmurzona przestrzeń jest prawie nieczytelna. Bardziej obiecujący był list z Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą KRL-D: zapraszamy, czekamy na propozycje programu pobytu. Mój program zaś to zobaczyć, poznać, napisać...

Pierwsze promienie słoneczne wyłoszyły z fasad i dachów budynków wielobarwne neony. Na skrzyżowaniu ulic Synri i Podynamu samotny milicjant w błękitnym mundurze spaceruje w oczekiwaniu na wzmożony strumień ciężarówek, mercedesów, volvo, toyot i mitsubishi. Tymczasem swoje czynności porządkowe kończą schludnie ubrane kobiety w niebieskich chusteczkach z daszkami. Za jakiś czas pojawią się tu znowu na trzykołowych rowerowych wózkach. Pod oknami grupa mężczyzn i kobiet — pracowników hotelu, zmiata chodnik z opadłych liści. Nigdzie przedtem nie widziałam takiej dbałości o czystość, jak właśnie w Korei.

Z bocznej ulicy, z podziemnego przejścia, od strony rzeki Tedong (rzeka to po koreańsku: *gang*) idą spiesznie mężczyźni w garniturach, kobiety (*niozy*) z drepczącymi obok barwnie ubranymi dziećmi lub z niemowlętami przytulonymi

do matczyńskich pleców. Do szkoły, do przedszkola, do żłobka, do pracy. Z każdą minutą jest ich więcej. W obie strony mkną zatłoczone autobusy i trolejbusy. Kilka dni temu przesiadywał tu — na placu, na chodnikach i ulicy— wielotysięczny tłum odświętnie ubranych mieszkańców stolicy, oczekujący na przyjazd Ericha Honeckera, Stąd wszyscy przeszli na trasę przejazdu gościa, tę samą, którą we wrześniu przemierzał Wojciech Jaruzelski. Witali go tak samo: spontanicznie, gorąco, z pieśnią, tańcem i kwiatami.

Po drugiej stronie ulicy nieodmiennie przyciąga wzrok zwarta bryła Teatru Wielkiego, którego ściany zdobią charakterystyczne dla tutejszej architektury wielometrowe, barwne mozaiki ilustrujące sceny z walki i życia ludu koreańskiego. Jak lekko nad tą budowlą unosi się skrzydlata kombinacja dwu- i czterospadowych dachów w stylu *hapkak* z rogami miękko wygiętymi ku niebu. Jest ich w Phenianie wiele: na starych zrekonstruowanych wrotach, pamiętających twierdzę z epoki państwa Kogurio, na zabytkowych pawilonach i altanach. Zdobią bogactwem kształtów i błękitem ceramicznych dachówek Ludowy Pałac Kultury i monumentalny Ludowy Pałac Nauki oraz wspaniały obiekt Wystawy Międzynarodowej Przyjaźni w górach Miohiang. Otulają parterowe domki chłopskie w Cangsuwonie i świątynię o czerwonych ścianach, strzegącą spokoju grobowca króla Tongmionga sprzed półtora tysiąca lat.

A pomiędzy tym wszystkim i ponad to wszystko urbanistyczny rozmach dwudziestego wieku — wysokościowce przy stołecznej ulicy Czhangwan z górującym nad miastem czterdziestopięciopiętrowym hotelem „Korio”, wyłożonym milionami połyskliwych ceramicznych płytek w kolorze czekolady; monumentalny łuk Tryumfalny, w którego wygięciu od strony ulicy Kesong rysuje się dwudziestometrowy posąg Kim Ir Sena, wzniesiony przed Muzeum Rewolucji Koreańskiej na wzgórzu Mansu oraz równie monumentalna rzeźba konia Czollima, który jest symbolem koreańskiego przyspieszenia. Skrzydlaty koń, niosący na grzbiecie robotnika z czerwonym listem KC Partii Pracy Korei i młodą chłopkę ze snopem ryżowych kłosów, pokonuje codziennie dystans tysiąca li. Jeden li to około 400 metrów, dokładnie — 0,393 km. Według starej legendy wschodniej ogromny gryf wzniósł się niegdyś na wysokość dziewięćdziesięciu tysięcy li. Ale to legenda.

Współczesna rzeczywistość urealniła mit skrzydlatego konia. Pokazuje to każdy wznoszony w tym kraju budynek, nowy zakład pracy, każdy metr wyrwanej

morzu ziemi. *Manrikildo han korymyro sidzaktwenda* — „I najdalsza droga zaczyna się od jednego kroku” głosi stara maksyma. Koreańczycy wiedzą, że koń Czhollima musi pokonać jeszcze wiele tysięcy li. Oznacza to konieczność codziennej mrówczej pracy i bezwzględного podporządkowania się programowym wskazówkom wielkiego wodza prezydenta Kim Ir Sena oraz jego syna, Kim Dzong Ha, sukcesora wszelkich rewolucyjnych koncepcji, zwłaszcza idei dżucze — idei samodzielności.

To, co dla Europejczyka wydaje się nie do przyjęcia, w Korei stanowi powszechnie uznane normy społeczne. Zasada życia kolektywnego wynika z głęboko zakorzonego w świadomości dalekowschodnich społeczeństw (m.in. również w Chinach i Japonii) systemu myślenia zbiorowego i idei przywództwa, co jest wynikiem wielowiekowego oddziaływania konfucjanizmu. Koreański sposób realizacji ustroju socjalistycznego, polegający na permanentnym (od przedszkola po emeryturę) doskonaleniu ideowym wszystkich obywateli okazał się całkowicie realny, dzięki zakodowanej z pokolenia na pokolenie mentalności grupowej i poczuciu odpowiedzialności wobec kolektywu. Dlatego też bez żadnych trudności można tam porwać do czynu tysiące ludzi, którzy traktują wszelką agitację jako coś zupełnie naturalnego, a zjawisko lekceważenia pracy po prostu nie istnieje. Stąd w KRL-D zaakceptowano powszechnie podział doby na trzy równe części: osiem godzin pracy lub nauki, osiem godzin zajęć społecznie użytecznych i szkoleń politycznych, osiem wypoczynku.

Miasto za oknem pulsuje swoim codziennym, przyspieszonym rytmem. Za kilka godzin mój przewodnik Pak Won Sen i tłumacz Kim Kwan Ho (Kim, Pak i Li to najpopularniejsze w Korei nazwiska) przewiozą na lotnisko moje skromne bagaże — подарowane mi kolorowe albumy, ręcznie wyszywany na jedwabiu obraz, wachlarz, pałeczki *dzetgarak* do jedzenia, porcelanowe czarki, skorupę włochatego kraba, owoce drzewa hebanowego, kamień z Morza Żółtego. Ale najcenniejszy bagaż to bogactwo wrażeń i wspomnień, które — jak pejzaż wyszywany setką kolorowych jedwabnych nici tworzą w pamięci księgę zachęcającą do czytania wciąż na nowo.

Pospiesznie przeglądam gęsto zapisane notesy, zanim po raz ostatni wyjdę na pheniańską ulicę. Co w reporterskich relacjach potraktować jako sprawy najwyższej wagi, a co jako drugorzędne? Konglomerat wrażeń i wniosków. Za oknem co chwila rozlegają się klaksony samochodów. Mój kierowca, wirtouz koreańskich dróg, z niewiarygodną szybkością lawirował w czasie podróży

pomiędzy kolumnami ciężarówek, dywanami suszonej wprost na szosie kukurydzy, dwukołowymi arbami *dalgudi* zaprzężonymi w woły. Zatrzymywał się zawsze, kiedy chciałam utrwalić na kliszy fragment ryżowiska, ludzi ładujących snopy na przyczepę czy „ulatującą” w niebo altanę z podwiniętym dachem, zbudowaną na szczycie góry.

Widziałam sady owocowe w miejscowości Kwa Il nad brzegiem Morza Żółtego i ekipę, która w górach kręciła sceny do kostiumowego filmu z epoki Kogurio. Spenetrowałam muzea historyczne, rewolucyjne, galerie sztuki i instytut haftu artystycznego. Asystowałam przy operacji w przypominającej pałac klinice położniczej i ważyłam w dłoni garście tradycyjnych koreańskich leków w aptece innego szpitala. Pociągami i samochodem przejechałam tysiące kilometrów. Przez wiele nocnych godzin prowadziłam długie rozmowy z obcokrajowcami i Polakami, którzy pełnili w Korei odpowiedzialne misje.

Co zatem będzie ważniejsze? Uniwersytet im. Kim Ir Sena czy tygodniowy żłobek z podgrzewaną podłogą; rozmowa z głośnymi aktorami w wytwórni filmowej czy wzniesiona w ciągu roku wytwórnia cegły silikatowej wraz z osiedlem mieszkaniowym i całą infrastrukturą pod Sinyidzu przy granicy chińskiej; plantacja korzenia *imam* (po chińsku *żeń-szeń*) pod Kesongiem czy hodowla hurmy — pięknie owocujących drzew hebanowych; wystawa przyjaźni w górach czy pięciometrowej wysokości mur z żelazobetonu, który oddzielił dwie części Korei w poprzek półwyspu na długości 250 kilometrów.

Więc co jest ważniejsze? Wielkie pokazy sprawności i zręczności i dzieci czy ich tradycyjne *czogori* z rękawami w kolorze tęczy; sławna potrawa *kuksu* w restauracji „Czhonniu” nad rzeką Pothong czy talerz sojowych kiełków przyrządzonych przez uroczą Li Jon Ok w jej przytulnym mieszkaniu na dwudziestym piętrze; fabryka samochodów ciężarowych wewnątrz góry w pobliżu Tokczhon czy zbiorniki irygacyjne w Rihien-ri podnoszące wodę o 18, a następnie jeszcze o 13 metrów. Korea Północna to góry. Tu ziemia eksploatowana jest do maksimum. Zaledwie 15 procent gruntów nadaje się pod uprawy, więc i grobelki między poletkami ryżu obsadzone są soją, a kukurydza wstępuje na coraz wyższe stopnie wyrąbane w zboczach wzgórz.

Na frontonie Pałacu Młodzieży widnieje hasło: „Nie zazdrościć światu”. Koreańczycy chyba nie zazdrozczą. Tak myślę. — Mamy ryż — mówią. — Mamy pracę, nikt nie musi żebrać. Pracujemy pod i mądrym kierownictwem wielkiego wodza Kim Ir Sena i drogiego przywódcy Kim Dzon Ila. Teraz najważniejszą

sprawą jest doprowadzenie do pokojowego zjednoczenia Korei. Wiele rodzin nie wie o sobie nic od czterdziestu lat. A dobrobyt? Cóż, przyjdzie pora i na to.

Trzeba chcieć zrozumieć mentalność tych ludzi, ciężko, ofiarnie pracujących, zmęczonych i pogodnych. Przynajmniej próbować zrozumieć. Ja próbowałam patrzeć na Koreę oczyma Koreańczyków.

## Twarze czasu

Obcokrajowiec w Korei zawsze jest otoczony troskliwą opieką swoich gospodarzy. Kiedy wyczerpie się całodzienny program, jest jeszcze dość czasu, żeby europejskim zwyczajem wyjść na samotną wycieczkę po mieście.

Późnym wieczorem wybieramy się na spacer po Phenianie z profesorem Aleksandrem Atanasowem z Sofii. Teraz ulica Synri (Zwycięstwa) jaśnieje od neonowych skomplikowanych ornamentów i napisów umieszczonych wysoko na budynkach publicznych. Na przystankach autobusowych i trolejbusowych wciąż jeszcze stoją uporządkowane kolejki pasażerów.

Odprowadza nas żarzący się gęstymi punktami żarówek wygięty kontur dachu nad Teatrem Wielkim. Po drodze będzie jeszcze międzynarodowy urząd pocztowy, stojące naprzeciw siebie hotele „Hebansański” i „Tedongański”, pochyleni nad miseczkami ludzie widoczni zza szyb stołówek, pustawe sklepy, zakłady fryzjerskie, gdzie czarnowłose *niozy* zmieniają przed lustrami fryzury, jakimś cudem znajdując czas między godzinami programowych zajęć i wypoczynku. Światła, światła.

Na skrzyżowaniu z ulicą Sesallim przenikliwy gwizdek milicjanta w niebieskim mundurze każe nam zawrócić i przejść podziemnym tunelem, mimo że w pobliżu nie widać żadnego pojazdu. Porządek jednak musi być, w końcu po to czuwa tu władza z oświetloną pałką do kierowania zamierającym ruchem. Im bliżej placu im. Kim Ir Sena, tym donośniejsze dobiegają dźwięki muzyki z głośnika, przerywanej energicznym głosem spikera. Zwykle w tym miejscu odbywają się masowe uroczystości. Dzisiaj na oświetlonej reflektorami przestrzeni pomiędzy Galerią Sztuki a Centralnym Historycznym Muzeum Korei mrowią się setki ludzi pochylonych nad stertami kamiennych płyt. Od pewnego czasu trwa remont

tego fragmentu placu, więc i tu, podobnie jak na każdej budowie, tempo koreańskiego przyspieszenia pod skrzydłami konia Czhollima wspierają czynem społecznym obywatele spoza branży budowlanej.

W pobliżu muzeum, od strony nadrzecznego bulwaru, mającą uskrzydłone podwójnie spiętrzoną dachem wrota Tedong — zrekonstruowanego fragmentu twierdzy z VI wieku. Tu, gdzie właśnie stoimy, przebiegał potężny kamienny mur, wytyczony naturalnym biegiem spotykających się rzek Tedong i Pothong, które opasywały warowny gród od wschodu, południa i zachodu, oraz wysokimi zboczami gór Moran i Mansu od strony północnej. Współcześnie w dawnych granicach twierdzy wznoszą się oszałamiające cudzoziemców monumentalne budowle śródmieścia — Narodowy Pałac Nauki, Teatr Mansude z bajecznym kompleksem wielobarwnych fontann, które teraz nocą zachwycają szczególnie, Muzeum Rewolucji Koreańskiej ze spiżową statuą jej twórcy. W bliskim sąsiedztwie północnej bramy Czhilson konkurencję zamierzchłej architektury odiera imponujących rozmiarów łuk Tryumfalny. Od południa sięga gwiaździstego nieboskłonu hotel „Korio”.

Roboty pod reflektorami nie ustają. To wszystko jeszcze potrwa jakiś czas. Frontowe wejścia do galerii i muzeum są całkowicie zablokowane, a nie zajrzeć tam byłoby wielką stratą. Budowle te, niczym archaiczne wrota — tak to odczytuję — usytuowane po dwóch stronach reprezentacyjnego placu, wprowadzają przybysza we współczesny rytuał narodowych świąt i politycznych manifestacji, a bogactwem swoich zbiorów — w dawne dzieje. My, Polacy, nie wiemy o nich nic.

Zdarzyła się po kilkunastu dniach wyprawa do Galerii Sztuki, przez tylne wejście, od podwórza czystego, zadbanego. W muzeum historycznym, gdzie wiodła podobna droga, przedpołudnie spędzone wśród starodruków i eksponatów militarno-etnograficznych nie wystarczyło; wróciłam tu jeszcze raz. Zdarzyły się też eskapady do miejsc, gdzie relikty starodawnej kultury odchuchane i wypielęgnowane uzupełniły brakujące wątki w łańcuchu opowieści i zanotowanych wrażeń.

Więc od początku. Namacalne ślady obecności praczłowieka z okresu wczesnego paleolitu: kamienne narzędzia i kości zwierząt z wapiennej pieczary w Kumunmoru; żuchwa wykopana na górze Synri jako dowód zamieszkiwania nad rzeką Tedong „neoandropusa”; posklejane szczątki naczyń i prymitywne



kamienne narzędzia rolnicze z okresu neolitu oraz dolmen — megalityczny grobowiec w Sonsindonie, w prowincji Północny Hwanhe, zbudowany z potężnych pionowo ustawionych płaskich kamieni, na których wspiera się podobny kamień o długości 4,4 m. Niezliczone wykopaliska z epoki brązu: topór w kształcie gwiazdy, fujarka z kości, narzędzia gospodarskie, broń, ozdoby.

Od pierwszego tysiąclecia p.n.e. datują się początki państwa koreańskiego, chociaż legendarne przekazy zahaczają o XXIV wiek p.n.e. Najdawniejsze, niewolnicze państwo Dزون (którego nazwą oznaczającą „kraj porannej świeżości” posługują się dzisiaj Koreańczycy w odniesieniu do swojej ojczyzny) istniało niewątpliwie od VII wieku p.n.e. na obszarze północno-zachodniej części Półwyspu Koreańskiego oraz w basenie rzeki Liao na terenie Mandżurii. W V wieku p.n.e. pojawiło się też państwo Pujo, następnie Czinguk. Na podstawie znalezionych elementów z brązu zrekonstruowano dwukołowy rydwan, używany prawdopodobnie w dawnym Dزونie. Wśród archeologicznych skarbów tego okresu są też; oryginalny tuk, kindżał w kształcie instrumentu *pipha*, naczynia, sznury paciorków z agatu, kryształu i szkła. Pozostała także legendarna pieśń autorstwa Re Ok, żony ubogiego przewoźnika:

Nie chodź za rzekę, kochany.  
Poszedłeś, uparty  
i utonąłeś w rzece.  
Jakże będę żyła samotnie?

W II wieku p.n.e. część koreańskiego terytorium opanowała chińska dynastia Hań. W następnym rozpoczęła się epoka Trzech Królestw (Kogurio, Pekdze i Silla), które przetrwały do VII wieku naszej ery, Kogurio okazało się państwem największym i najsilniejszym. Jego założycielem był król Tongmiong. Nad rzeką Amnok (rozgraniczającą dzisiaj Chiny i Koreę) postawiono w 414 roku kamienny pomnik sławiący za pomocą 1802 wrytych liter potęgę feudalnego króla Kwangetho.

Po zagarnięciu południowego terytorium, władcy Kogurio przenieśli w 427 roku stolicę państwa do parusetletniego Phenianu; od u-go też czasu datuje się jej nieskrępowany rozwój. W górach Tesong wzniesiono twierdzę obronną, a w jej sąsiedztwie wspaniała pałac królewski Anhak. W ciągu 42 lat stolica została otoczona zewnętrznymi i wewnętrznymi murami o łącznej długości 23 kilometrów. Przecinał je trzykilometrowy kanał, a na zewnątrz wiodło szesnaście

bram obronnych. W pobliżu bramy Tedong pozostawiono zrekonstruowany trzynastotonowy dzwon z wyobrażeniem ośmiu wizerunków Buddy i dwoma wijącymi się smokami. W wędrówce trasą, wzdłuż której przebiegały niegdyś mury twierdzy, spotykają przechodnia ich pozostałości: bramy Czilson, Pothon, Czongym, altany Ylmir i Czwesyn, pawilony Chonniu, Pubek i Riongwan. Na kolumnach tego ostatniego pozostały tabliczki z wierszami XI-wiecznego poety Kim Hwan Wona, zachłyśniętego urodą pheniańskiego krajobrazu:

Pod prastarą twierdzą  
szumi woda w lazurze,  
na równinę płonącą od zorzy  
wyływają górskie szczyty.

Wykopaliska na miejscu pałacu Anhak i twierdzy w górach Tesong świadczą o wysokim kunszcie ówczesnych budowniczych i rzemieślników. W kamiennych pojemnikach przechowały się buddyjskie modlitwy zapisane złotym proszkiem na dobrym papierze, który przetrwał próbę czasu, oraz dwa miniaturowe posążki Buddy: srebrny — mężczyzny, złoty — kobiety. Ozdoby i biżuteria z pozłacanego brązu, złote i srebrne kolczugi - trudno dociec, co zachowało się z przeszłości, co zaś jest rekonstrukcją. Przechowuje się w muzeum „mapę położenia ciał niebieskich” ilustrującą rozmieszczenie 1467 gwiazd. Wykonano ją na podobieństwo kamiennej mapy z okresu Kogurio. Jest warsztat tkacki i wzory odzieży barwnej, bogato zdobionej. Są oryginalne instrumenty muzyczne: róg, bambusowa fujarka, bębny. Są pozostałości różnokształtnych dachówek i ozdób dachu z głównego pałacu. Jedna z kamiennych kalenic ma wysokość 2,1 m.

We wsi Mudzin pokłoniłam się przed mogiłą króla Tongmionga, którego szczątki przeniósł założyciel twierdzy znad rzeki Amnok. Przed wysokim czworokątnym wzgórzem stoją lekkie ażurowe świątynie, za nim — grobowiec z pozostałościami fresków. Tu także znaleziono garść ozdób ze wzorami kwiatów i świecidełek z korony. Z odkopanych dotychczas około 80 grobowców z okresu Kogurio wydobyto na światło dzienne niezliczone freski, pozwalające odczytać obyczaje (polowania, popisy cyrkowe) i codzienność życia rodzinnego.

Od połowy VI wieku głównym elementem ilustracyjnym grobowców stały się wyobrażenia „strażników” czterech stron świata, strzegących spokoju duszy zmarłego. Ludzie w tym czasie wierzyli w zależność losów od ruchu ciał niebieskich. Podzielili 28 gwiazdozbiorów na cztery grupy, każdą z nich uznając

odpowiednio za strażników stron świata: błękitny smok (*czhonriong*) pilnował wschodu, biały tygrys (*pekho*) — zachodu, czerwony feniks (*czudzak*) — południa, a żółw ze żmiją (*henmu*) — północy. Wyjątkowo interesujące wizerunki strażników pozostały w grobowcach w Kanso. W tzw. Grobowcu Wielkim na pułapie wyobrażone są cztery nimfy (*piczhon*) lecące na zachód z rozwiniętymi szatami-skrzydłami.

W grobowcu we wsi Tokhyn, gdzie odkryto datę 25 grudnia 408 roku, zachował się między innymi fresk-legenda. Ze wschodu na zachód płynie w dół Droga Mleczna. Lewą stroną idzie mężczyzna, wiodąc za sobą wołu. Z prawej strony kobieta z czarnym psem zalewa się łzami żegnając odchodzącego. Są to dwie gwiazdy — Prządka i Pastuch. Od czasu kiedy pokochały się wbrew woli władcy niebios, mogą spotykać się tylko raz w roku na moście „Odzak”, utworzonym przez sroki i wrony. Zakochani długo oczekiwali na siebie z niecierpliwością i oto znowu muszą się rozstać. W dniu 7 lipca (siódmego dnia miesiąca księżycowego) pada deszcz — to płaczą żegnające się nieszczęśliwe gwiazdy. Któż to wie, co powstało wcześniej — fresk czy legenda. W Namwonie (w Korei Południowej), gdzie toczy się akcja „Opowieści o Czhun-hiang” z okresu dynastii Li, figuruje rzeczywisty most o tej samej nazwie.

Od drugiej połowy VII wieku do początku X wieku władzę na terytorium koreańskim dzieli państwo Palhe równoległe z Silla. Charakterystyczne dla tego okresu relikty to między innymi ozdobne cegły, pagody i posąжки Buddy z Pekdze, dziewięciopiętrowa pagoda ze świątyni Hwanrion i pagoda Sokka z okresu Silla, wspaniała skrzydlata korona, która błyszczy oślepiająco, a przy dotknięciu dzwoni dziesiątkami wisiorków. Z czasów Palhe zachowały się ozdoby z dachu pałacu królewskiego w Sangenrionczhonbu — wyobrażenie demona i kamienna kalenica o ptasim kształcie, pierwsze naczynie z białej porcelany, pas ze złota i brązu. Wszystko jak nowe. Jest także mnóstwo przekazów o waleczności koreańskiego narodu i bohaterskim odpieraniu najeźdźców chińskich, mongolskich i japońskich.

W roku 918 Wang Gon założył nową dynastię. Przez pięć wieków państwo umacnia się i rozwija jako Korio. Stąd dzisiejsza nazwa kraju używana na świecie — Korea (co znaczy „wysoko jaśniejąca”).

Wraz z upadkiem Kogurio Phenian przestał być stolicą kraju, nie utracił jednak swojego politycznego, ekonomicznego i kulturalnego znaczenia. Królewski pałac Manwolde wzniesiony został w nowym stołecznym mieście, Kesongu. Państwo

Korio zastąpiło z wytwarzania wspaniałej niebieskiej, zdobionej motywami ze świata roślin i zwierząt, porcelany oraz z rozwoju drukarstwa.

Od zamierzchłych czasów kultura koreańska znajdowała się pod przemożnym wpływem Chin. Toteż przejęła stamtąd również ideo-graficzne pismo. W okresie Trzech Królestw opracowano metodę *libu*, pozwalającą na zapis słów języka koreańskiego odpowiednio dobranymi hieroglifami. Tak właśnie został zapisany w VIII wieku zbiór poezji *hiangga* pt.: „Samdemok”, czyli „Utwory trzech pokoleń”.

Dokumenty głoszą, że pierwsze na świecie metalowe czcionki z miedzi powstały w Korio na przełomie XI i XII wieku. Poprzedziły je czcionki ksylograficzne na płytach z drzewa morwowego, używane w okresie Trzech Królestw. Takimi płytami zostały wydrukowane na papierze buddyjskie kanony. Znalaziono je w miedziano-złotej szkatułce, kryjącej jakoby prochy świętego *szakji-muni*, czyli oświeconego Buddy. Szkatułka zaś została wydobyta z pagody Sokka w pochodzącej z VIII wieku świątyni Pulguk-sa w Kendzu. Od 1011 roku w ciągu siedemdziesięciu lat wydrukowano ponad 6 tysięcy tomów „Tedzangen” — „Wielkiego zbioru świętych buddyjskich pism”. Z 1090 roku pochodzi 5 tysięcy tomów „Sokdzangen” — „Zbioru uzupełniającego”. Drewniane tablice zostały spalone przez mongolskich najeźdźców. Oglądałam bardzo do nich podobne płyty ksylograficzne, przechowywane w skarbcu ksiąg Czhangen na terenie kompleksu buddyjskich świątyń Pohen w górach Mio-hiang. Z 86 tysięcy płyt wydrukowano w ciągu szesnastu lat, począwszy od 1236 roku, zbiór pism „Phalmandezangen”. Dziesiątki egzemplarzy wyłożone są pod szkłem do oglądania. Reszta ukryta.

Według przekazów pojawiła się w tym samym czasie na wyspie Kanhwa pierwsza książka, wydrukowana metalowymi czcionkami, Był to „Kogymsandzonremun” — „Zbiór praw i przepisów postępowania w feudalnym państwie Korio”. Dzieło nie zachowało się jednak do naszych czasów. Natomiast w 1972 roku na wystawie „Historia ksiąg” w Paryżu, zorganizowanej przez UNESCO z okazji Międzynarodowego Roku Książki, sensacje wzbudziła inna koreańska niespodzianka. Zaprezentowano otóż „Czikdzisimgen” — buddyjskie prawidła okresu Korio wydrukowane metalowymi czcionkami w 1377 roku, a więc o wiele lat wcześniej niż uczynił to Gutenberg.

O pomysłowości wojowników Korio zaświadczać ocalałe czy też zrekonstruowane egzemplarze broni: łuk z zapalającą strzałą w kształcie

wrzeciona oraz wyrzutnie do kamiennych kuł o nazwach *czangunhwathon* i *czholrendzon*. Czyżby błogosławił wojennemu rzemiosłu piękny Bodhisattwa Awalokiteśwara, którego delikatny wizerunek oraz marmurowy posąg powstały w tym samym czasie. Awalokiteśwara („Pan spoglądający w dół”) uosabiał bowiem Współczucie i miłosierdzie do tego stopnia, że z litości dla ludzi pozostał bodhisattwą, czyli tym, który osiągnął doskonałość się stał taki, że mógł zostać Buddą. Jest więcej takich zachwycających rzeźb. Miniaturowa „rodzina” buddyjskich świątków z brązu — niedawne znalezisko, z Kymgang czy też potężne kamienne postacie wojowników i urzędników miejskich, strzegących podwójnego grobowca w okolicach Kesongu — jednego z królów państwa Korio-Konmina. Obcokrajowcy przybywający na linię demarkacyjną, dzielącą świat współczesny, zbyt mało mają czasu na zwiedzenie w okolicach Kesongu tego niezwykłego miejsca, które przypomina kamienne muzeum.

W 1392 roku na tron wstępuje Li Song-gie, który przywraca po ństwu nazwę Dzoson i przenosi stolicę do Seulu. Okres panowania dynastii Li (do 1910 roku) przyniósł ożywiony rozwój nauki, literatury i sztuk plastycznych.

W 1444 roku bardzo niewygodną w zapisie metodę *libu* zastąpił fonetyczny alfabet koreański *hunmin dzongym*, używany do dzisiaj, składający się z czterdziestu prostych liter i ligatur. Opracowano go pod nadzorem króla — Sedzonga. Niemniej do początków wieku XX każdy tekst uznany za dzieło literackie musiał powstać w klasycznym języku chińskim *wen-jen*.

We wstępie do wydanego w Polsce w 1970 roku utworu z klasyki koreańskiej pt.: „Opowieść o Czhun-hiang najwierniejszej z wiernych” Halina Ogarek-Czój pisze: „Literatura koreańska przejęła z Chin nie tylko pismo. Cały zespół pojęć filozoficzno-moralnych, związanych tak z wierzeniami buddyjskimi jak i przede wszystkim z konfucjanizmem, wszedł w zakres literackiego słownictwa Korei, realia z historii i geografii Chin, najpopularniejsze tematy literatury chińskiej, specyficzne chińskie określenia literackie, metafory, aluzje itp., wszystko to stało się integralną częścią literatury koreańskiej. Nic w tym dziwnego, skoro młodzież koreańska — synowie *jangbanów*, czyli szlachciców — uczyła się czytać i pisać na dziełach chińskich klasyków, a w zakres egzaminów państwowych, które były pierwszym szczeblem na drodze do kariery urzędniczej, wchodziła przede wszystkim znajomość wszystkich ksiąg kanonu konfucjańskiego i dzieł klasycznej poezji chińskiej”.

Od XV wieku następuje rozwój nauk astronomicznych i meteorologii. Zachował się w muzeum historycznym pierwszy deszczomierz z 1441 roku, który według źródeł koreańskich powstał o ponad 200 lat wcześniej niż podobne dzieło Benedetto Castrelliego.

Wiek XVII rozpoczął długotrwałą „burzę mózgów” w środowiskach myślicieli — zwolenników tzw. szkoły *silhakpha*. Postępowi filozofowie, uczeni i pisarze zwrócili się przeciwko feudalnemu systemowi społecznemu, domagając się zreformowania gospodarki, polityki wewnętrznej i zagranicznej nastawionej na izolacjonizm oraz likwidacji poniżającego podziału stanowego. Najbardziej znanymi myślicielami tych czasów byli między innymi Liu Hiong-won, Dzung Jak-jong i nowelista Pak Dzi-won.

Przemiany społeczne znalazły także swój wyraz w sztukach plastycznych. Obok tradycyjnych, korzystających z wzorów chińskich, rysowanych tuszem na papierze lub jedwabiu obrazów, takich jak XVII-wieczne „Łowienie smoka” czy autoportret Jun Tu So, rozwijało się realistyczne malarstwo rodzajowe, powstawały pejzaże pokazujące przeobrażanie przyrody: „Walka” Kim Hong-do, „Pory roku” ilustrujące kontrast życia pana i sług, „Pastuch” Kim Tu Riana i wiele innych.

Wśród unikalnych pozostałości świadczących o wysokim poziomie rozwoju nauki, kultury i sztuki użytkowej Dzosonu pod panowaniem dynastii Li są XV-wieczne igły do akupunktury, zegar słoneczny z 1434 roku oraz makieta zegara wodnego z 1438 roku z pawilonu Hymgen w pałacu królewskim. Zegar jest potężnym mechanizmem z atrapą złotych gór pośrodku oznaczających ziemię i obracającym się wokół nich słońcem na pręcie. Co dwie godziny z umieszczonych na obwodzie poziomej tarczy kolejnych kwiatów lotosu wynurzają się dziewczyny, a przed nimi zwierzęta symbolizujące określoną porę. Są też „strażnicy” oraz kukły wybijające godziny: nocą uderzają w bęben, w ciągu dnia — w gong.

Kim En Bon, piękna przewodniczka z muzeum ubrana w tradycyjne *czogori* i *thonczimę*, ożywiła dla mnie XV-wieczne instrumenty muzyczne — *phendzon* i *phengen*, wydobywając z nich dawne koreańskie melodie. Na drewnianej ramie *phendzon* ozdobionej rzędem złotych feniksów wiszą po dwa rzędy dzwonków. W *phengen* zamiast nich są różnej wielkości płytki marmurowe. Wśród naczyń,

ozdób i mebli jest skrzynia z perłową inkrustacją I O symboli przyrody oraz druga, którą zdobi 140 barwnych ilustracji inkrustowanych rogiem. Zachowała się też zawierająca 1763 tomy kronika dziejów dynastii Li.

Waleczność Koreańczyków przypominają zmyślnie skonstruowane urządzenia wojenne: dwukołowy wóz z połowy XV wieku, z którego wyrzucano jednocześnie sto zapalających strzał prototyp „katuszy” oraz armaty *czarno* i pierwszy na świecie pancerny okręt-żółw *kobukson*, użyty podczas wojny w końcu XVI wieku. Tzw. imdzińska wojna z Japończykami rozpoczęła się w 1592 roku. Dobrze uzbrojona dwustu tysięczna armia najeźdźców poprowadzona przez Toyotomi Hideyoshi spotkała zdecydowany odpór na lądzie i morzu ze strony wojsk pod dowództwem Li Sun-sina. Wtedy właśnie użyto do walki okrętu *kobukson*, odnosząc zwycięstwo. Do historii przeszło też bohaterstwo uczestników pospolitego ruszenia, któremu przewodzili waleczni dowódcy, wśród nich buddyjski mnich Sosan Desa ze świątyni w górach Miohiang. Li Sun-sin, podtrzymujący bojowego ducha Narodu jeszcze w wielu potyczkach morskich, zginął w ostatniej zwycięskiej walce w 1598 roku.

Spustoszenia Dzosonu, rozpoczętego przez Japończyków, dopełniły najazdy Mandżurów (1627 i 1636), których zwierzchnictwo musiał uznać osłabiony kraj, wstrząsany wewnętrznymi konfliktami i powstaniem chłopstwa przeciw szlachcie (*jangbanom*). Coraz trudniej było odpierać napaści wrogów od strony morza. Zagrożone państwo z rządzącą pozornie a pogrążoną w głębokim kryzysie dynastią Li postanowił uratować regent Tewongun. Zamierzał osiągnąć swój cel poprzez umocnienie obronności, ekonomiki i królewskiej władzy oraz bezwzględną izolację od zagranicy. Przeciwno niemu wystąpiła bratowa, królowa Min, która w rezultacie swoich działań doprowadziła do utraty suwerenności kraju i dalszego pogorszenia życia społeczeństwa.

W 1866 roku na wody Tedong-gang wpłynął piracki okręt amerykański „Generał Sherman”, którego załoga plądrowała przybrzeżne wsie zabijając ludzi oraz grabiąc ryż i złoto. Obrazy w muzeach pokazują bohaterską walkę żołnierzy i mieszkańców Phenianu, którzy pod dowództwem Kim Yn U — pradziada Kim Ir Sena, zatopili okręt posyłając w jego kierunku flotyllę czółen z płonącym drewnem. Wielokrotnie jeszcze Koreańczycy musieli odpierać atakujące z wody wrogie jednostki. W 1871 roku na kamiennym obelisku *chokhwa* wyryte zostały chińskimi hieroglifami wersety ku pamięci potomnym: „Nie walczyć z

napadającymi na nas zachodnimi barbarzyńcami oznacza pójść na kompromis, a zabiegać o pokój z nimi jest równoznaczne ze sprzedaniem ojczyzny”.

Bohaterskie karty w dziejach walk narodowowyzwoleńczych zapisali uczestnicy: przewrotu w 1884 roku, który dał początek pierwszej rewolucji burżuazyjnej; wojskowego buntu przeciw królowej Min w 1882 roku i chłopskiej wojny w 12 lat później.

W pierwszych latach XX wieku wzmożyły się walki tzw. armii sprawiedliwości *ybion* przeciwko Japończykom. W marcu 1908 roku młodzi koreańscy patrioci — Czon Men Un i Czan In Hwan wydali wyrok na dyplomatę Stephensona, radcę feudalnego rządu koreańskiego, który oddawał usługi Japończykom. W październiku następnego roku na dworcu kolejowym w chińskim mieście Harbin patriota An Dzun Gyn zastrzelił Ito Hirobumi, byłego premiera Japonii, głównego inspektora Korei. W tym czasie inteligencja rozwinęła aktywny patriotyczny ruch kulturalno-oświatowy.

W 1910 roku rozpoczęła się okupacja Korei przez Japonię. Komentując ten fakt Marian Podkowiński przytacza na łamach „Rzeczypospolitej” z 1986 roku wypowiedź obecnego ministra kultury Japonii, Masayuki Fujio, który w miesięczniku „Bungei Shunju”, nieodpowiedzialnie twierdzi, że „... aneksja Korei w 1910 roku jest po części winą samych Koreańczyków... A mianowicie — powiada minister Fujio — wcielenie Korei do japońskiego państwa nastąpiło... na mocy formalnego układu między tymi dwoma krajami”. Swe kontrowersyjne Uwagi, wykazujące próbkę japońskiego rewizjonizmu terytorialnego i historycznego Fujio oparł na porozumieniu między japońskim mężem stanu Ito i ówczesnym cesarzem z dynastii Yi (Li). W rzeczywistości jednak układ ten uważany jest przez historyków i polityków jako pogwałcenie suwerenności Korei, skutkiem czego nastąpiła japońska kolonizacja Korei.

Były minister wojny Japonii, Terauti, mianowany generał-gubernatorem przekształcił Koreę w więzienie i ustanowił reżim pod hasłem: „Koreańczycy muszą podporządkować się prawom Japonii albo umrzeć”.

I marca 1919 roku wybuchło narodowe powstanie, które z Phe-nianu i Seulu przeniosło się na cały kraj. Zryw dwóch milionów Koreańczyków zakończył się jednak klęską, a Japończycy rozprawili się krwawo z jego uczestnikami.



Z antyjapońską rewolucyjną walką związane jest imię Kim Ir Sena, wodza-bohatera, wodza-legendy oraz imiona jego rodziny. Za koreańskimi publikacjami z ostatnich lat podaję, że stanął on na czele walki w sytuacji, kiedy ruch narodowościowy zamarł, ruch komunistyczny w swoim początkowym okresie przeżywał chaos, a naród z niecierpliwością oczekiwał na pojawienie się wybitnego przywódcy, który porwałby za sobą masy.

Kim Ir Sen, którego pierwsze imię brzmiało Son Dzu, urodził się 15 kwietnia 1912 roku w rodzinie biednego chłopca, w Mangende (niegdyś wieś Namri w gminie Kophen pod Phenianem). Wszyscy członkowie jego rodziny byli patriotami, a rodzice bojownikami antyjapońskimi. Ojciec, Kim Hiong Dzik, spełnił pionierską rolę podczas przeradzania się ruchu narodowościowego w komunistyczny. Jego młodszy brat, Kim Hiong Gwon stał się towarzyszem walki swojego bratanka. Matka Kim Ir Sena — Kan Ban Sok, także była komunistką i działaczką polityczną, inicjatorką utworzenia organizacji kobiecej, współtowarzyszką swego męża i wzorową matką, która od dzieciństwa wychowywała syna na patriotę i rewolucjonistę. Zmarła w 1932 roku, mając 40 lat.

Współczesne społeczeństwo przyznało Kan Ban Sok tytuł „matki Korei”, śpiewa o niej pieśni, stawia muzea i pomniki, maluje obrazy z jej życia. Grupa pisarzy „15 kwietnia” wydała powieść biograficzną. Kim Hiong Dzik, podobnie honorowany, został patronem pheniańskiego Instytutu Pedagogicznego. Mangende, co oznacza „dziesięć tysięcy pejzaży”, nazywane dzisiaj „kolebką rewolucji koreańskiej” jest miejscem nieustających pielgrzymek wszystkich pokoleń i pierwszym ogniwem podczas zwiedzania Phenianu przez obcokrajowców.

Obejście domu rodzinnego Kim Ir Sena zostało pieczołowicie odrestaurowane i odświeżone, sagany używane przez Kan Ban Sok otoczono na podwórzu estetycznym białym płotkiem, a wokół domu wyrosła bujna roślinność. W sąsiedztwie zostało wybudowane muzeum, gdzie zwiedzający mogą dokładnie zapoznać się z rewolucyjną działalnością całej rodziny. W pobliżu zielenią się młode drzewka, opatrzone jednakowymi marmurowymi tabliczkami. Najnowsza z nich głosi, że oto w tym miejscu osobiście posadził drzewko I sekretarz KC PZPR — Wojciech Jaruzelski. Tysiące makiet Mangende znajduje się w żłobkach, przedszkolach, szkołach i zakładach pracy, gdzie wszyscy obywatele niezależnie od wieku mają na wyciągnięcie ręki „kolebkę rewolucji”.

Kim Ir Sen w wieku czternastu lat rozpoczął naukę w dwuletniej szkole wojskowo-politycznej „Hwasonyjsuk” w Mandżurii, gdzie wyemigrowała jego rodzina. W październiku tego roku utworzył komunistyczną organizację — Antyimperialistyczny Związek Młodzieży. Po przeniesieniu się do średniej szkoły w Girinie (Chiny) rozwinął tam działalność rewolucyjną na wielką skalę. W 1930 roku powstała pierwsza organizacja partyjna złożona z młodych komunistów. Wkrótce sieć organizacji i komitetów objęła znaczną część Korei. Koreańskie publikacje podają, że w czerwcu 1930 roku Kim Ir Sen przedstawił na zebraniu Antyimperialistycznego Związku Młodzieży koncepcję idei dżucze, która była rezultatem jego walki z poglądami frakcjonistów i dogmatyków. Idee dżucze według samego Kim Ir Sena oznaczają, że gospodarzem i siłą napędową rewolucji i budownictwa są masy ludowe, to znaczy, że każdy sam jest panem swego losu, że w każdym tkwi siła rozstrzygająca o jego losie. Rozwijając te idee oraz zaszczepiając je młodej generacji komunistów i masom ludowym Kim Ir Sen opracowywał nową linię, strategię i taktykę koreańskiej rewolucji. Jej założeniem i celem stało się urzeczywistnienie antyimperialistycznej i antyfeudalnej rewolucji demokratycznej, zbudowanie socjalistycznego i komunistycznego społeczeństwa (następnie zaś... urzeczywistnienie rewolucji światowej).

W odpowiedzi na krwawe represje japońskich okupantów, Kim Ir Sen utworzył w 1932 roku antyjapońską ludową armię partyzancką, której oddziały założyły swoje bazy wzdłuż rzeki Tuman na północy Korei. Asekurując się przed wrogiem, uświadomił ideowo i politycznie mieszkańców okolicznych rejonów, a punkty oporu wyposażył w dostarczoną przez armię radziecką broń i przekształcił w twierdze. Zwycięskie potyczki z uzbrojonymi po zęby Japończykami, zwłaszcza wielodniowa bitwa na przełomie lat 1933 -1934 rozstawiły bohaterstwo partyzantów i rozbudziły w narodzie nadzieje na wyzwolenie. W maju 1936 roku powstała Liga Odrodzenia Ojczyzny, na czele której stanął Kim Ir Sen. Dziesięciopunktowy program odzwierciedlał dążenia i interesy koreańskiego narodu, toteż w Lidze skupiły się tysiące reprezentantów wszystkich warstw społecznych.

Centrum oporu stała się wkrótce sieć tajnych obozów partyzanckich w górach Pektu i sieć podziemnych organizacji rewolucyjnych. (Święta Góra Pektu — mówi się w Korei. Tu właśnie 16 lutego 1941 roku urodził się Kim Dzong Il — syn Kim Ir Sena i jego żony, rewolucjonistki Kim Dzong Suk). Z odpowiednio wyposażonego bastionu Kim Ir Sen kierował działaniami Koreańskiej Armii

Ludowo-Rewolucyjnej. Zaczęto wydawać własną prasę: „Samilwolgan” — organ Ligi Odrodzenia Ojczyzny, „Sogwan” („Zorza”) — organ armii oraz jej dziennik „Czonsori” („Głos Dzwonu”). W tym czasie (1937 r.) Kim Ir Sen napisał utwory literackie „Morze krwi” i „Los agenta”.

Wielkim zwycięstwem zakończył się szturm żołnierzy koreańskich na graniczne kordony japońskie i bitwa o Poczchonbo oraz bitwa w rejonie musańskim w 1939 roku.

Podczas II wojny światowej naród aktywnie uczestniczył w przygotowaniach do powstania przeciw Japonii. 9 sierpnia 1945 roku oddziały koreańskie wraz z formacjami 25 Armii Czerwonej przerwały linię obrony japońskiej Armii Kwantuńskiej. Klęska Japonii w wojnie przyniosła Korei wolność. 15 sierpnia Kim Ir Sen jako dowódca naczelny Koreańskiej Armii Ludowo-Rewolucyjnej powrócił u boku wojsk radzieckich na rodzinną ziemię. Ten dzień obchodzony jest w KRLD jako Dzień Zwycięstwa.

\*\*\*

— Dzisiaj jedziemy do muzeum w Sinczhonie — mówi mój przewodnik. Wyobrażam sobie, że zobaczę interesujące zbiory etnograficzne. W prostej linii do Sinczhonu jest około 80 kilometrów. Podróż trwa jednak ponad półtorej godziny. Na drodze panuje większy niż w mieście ruch. W obie strony jadą ciężarówki wyładowane tobołkami i ludźmi; mijamy samochody z wojskiem, traktory z przyczepami pełnymi ryżowych snopów. Zaczął się drugi zbiór ryżu.

Długie, parterowe domki odgródzone są od drogi wysokimi murkami. Właściwie nie od drogi, a od „złych mocy”, które w dawnych czasach lubiły nawiedzać dalekowschodnie obejścia.

Samochód przejeżdża ulicami Hwandzu i mostem nad rzeką o tej samej nazwie. Stąd niedaleko do Sariwonu — centrum administracyjnego prowincji zwanej Północny Hwanhe. Korea Północna składa się z dziewięciu prowincji i czterech miast wydzielonych: Phenianu, Kesongu, Czhongdzinu i Hamhyngu. Na ulicach Sariwonu ludzi specjalnie nie widać, są to bowiem godziny pracy. Chodnikiem maszeruje dziarsko długi dwuszereg uczniów. Kilkanaście kilometrów za miastem wjeżdżamy na teren prowincji Południowy Hwanhe i skręcamy na

zachód. Jeszcze przed dotarciem do Sinczhonu dowiaduję się jakie zbiory zgromadzono w tutejszym muzeum.

Miasteczko jest niewielkie, schludne. To siedziba powiatu. Tutaj, podobnie jak w innych miejscowościach, rzuca się w oczy ruch na budowach: trwają właśnie prace przy wznoszeniu kilkupiętrowych budynków mieszkalnych z szarych, cementowych cegieł. Mam jeszcze w pamięci przestronne, lekko i z rozmachem nakreślone ulice nowoczesnego Phenianu — budynki wyrastają tam dosłownie z dnia na dzień, a ich wygląd zaświadcza o światowości stolicy, luzie architektonicznym i dużym poczuciu estetyki wykonawców. Mijamy wysoki cokół, obstawiony rusztowaniami z powiązanych żerdzi. Być może stanie na nim pomnik. Stąd serpentyną pnącą się pod górę podjeżdżamy do piętrowego budynku otoczonego parkiem. Do roku 1950 mieściła się tu siedziba powiatowego komitetu partii. Dzisiaj za przysłoniętymi oknami znajduje się muzeum amerykańskich zbrodni.

To miasto do dzisiaj pamięta tragiczne dni sprzed trzydziestu kilku lat. Dokumenty, fotografie, eksponaty i groby nie pozwalają zapomnieć. We wrześniu 1945 roku, ledwie przepędzono kolonizatorów japońskich, wojska amerykańskie wkroczyły na teren Korei Południowej, co stało się początkiem okupacji tej części półwyspu przez Stany Zjednoczone. Kraj został podzielony u progu wolności. 10 października w Phenianie odbył się zjazd partii, na którym Kim Ir Sen powołał Centralny Komitet Organizacyjny Komunistycznej Partii Pracy Korei. 5 marca 1946 roku wydał dekret o reformie rolnej, która została przeprowadzona w ciągu dwudziestu dni. W sierpniu ukazał się dekret o nacjonalizacji przemysłu i naród koreański przystąpił do jego rozbudowy; w dziedzictwie po japońskich okupantach przejęto przemysł w stanie szczątkowym. 8 lutego 1948 roku z dotychczasowych sił zbrojnych została utworzona Koreańska Armia Ludowa, co było koniecznością wobec nasilających się na południu prowokacyjnych działań marionetkowej armii południowokoreańskiej, uzbrojonej i sterowanej przez USA.

Amerykanie weszli do Korei Południowej wskutek machinacji politycznych, jakie udało się im przeprowadzić podczas sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zmontowali ONZ-owską komisję do spraw Korei, inscenizując poci jej obserwacją „wybory” marionetkowego rządu z Li Syng Manem na czele. Po rozpędzeniu ludowych komitetów wprowadzili wojenną, represyjną administra-

cję. Do końca grudnia 1949 roku w Korei Południowej zamordowali 149 tysięcy obywateli. Do tego też czasu zgromadzili uzbrojenie i sprzęt wojskowy wartości 190 milionów dolarów.

9 września 1948 roku została utworzona Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna z premierem Kim Ir Senem na czele. Ten rok przyniósł światu początek głębokiego kryzysu, który znacznie pogorszył polityczno-ekonomiczne położenie Stanów Zjednoczonych. Znalazł on ujście w wojnie koreańskiej. Plan napaści na Koreę Północną przygotowany został w 1949 roku. Jednocześnie Amerykanie zachęcali południowokoreańskie władze do prowokacyjnych działań wobec Północy na linii 38 równoleżnika. 25 czerwca 1950 roku południowokoreańskie wojska napadły z nienacką na Północ. Na wezwanie Kim Ir Sena cały naród i siły zbrojne Korei Północnej stanęły gotowe do walki. Trzeciego dnia wojny formacje Koreańskiej Armii Ludowej weszły do Seulu. USA wezwały na pomoc wojska satelitarne, które pod wodzą Douglasa Mac Arthura przystąpiły do wojny pod flagą ONZ. Mimo to, po zwycięskich bitwach o Tedzon i zapędzeniu wrogów do Pusanu na południowym krańcu półwyspu, Koreańska Armia Ludowa uzbrojona przez ZSRR w ciągu półtora miesiąca oswojodziła 90 procent terytorium kraju.

W połowie września USA rzuciły do walki zmasowane siły na lądzie, morzu i w powietrzu. Pod wodzą Kim Ir Sena wojska Armii Ludowej wsparte wielotysięczną ochotniczą armią chińską zadały wrogom tyle strat, że zawiodły wszystkie plany Stanów Zjednoczonych, zgodnie z którymi ich formacje miały zająć do Bożego Narodzenia 1950 roku całą Koreę. Tak więc wrześniowa operacja desantowa USA Inczhon-Seul, znana jako „Sikomite”, w konsekwencji zakończyła się klęską.

W lipcu następnego roku front zatrzymał się na linii 38 równoleżnika. Latem 1951 roku rozpoczęły się wstępne rozmowy o rozejmie, które w sierpniu zostały jednostronnie przerwane przez Amerykanów. Ale ich „ofensywa letnio-jesienna” została również odparta. Do historii wojny przeszła wielka bitwa o wzgórze 1211, gdzie codziennie wróg zrzucał do 40 tysięcy pocisków i bomb. Trzyletnia wojna zakończyła się zwycięstwem Korei Północnej i podpisaniem 27 lipca 1953 roku porozumienia o rozejmie. Ówczesny dowódca „wojsk ONZ-owskich” Mark W. Clark w książce pt. „Od Dunaju do Amnoku” napisał po latach: „miałem jedynie wątpliwy zaszczyt okazać się pierwszym amerykańskim dowódcą, który podpisał rozejm w przegranej wojnie”.

W Korei Północnej wojska amerykańskie pozostawiły spopieloną ziemię, ruiny i zgliszcza, ofiary napalmu i broni bakteriologicznej oraz setki tysięcy grobów. W prowincji Hwanhe Amerykanie zgładzili ponad 120 tysięcy mieszkańców, a w powiecie Sinczhon wymordowali 25 procent ludności — ponad 35 tysięcy osób.

Po upływie wielu lat nic nie straciły na aktualności refleksje jednego z bohaterów książki dla młodzieży Moniki Warneńskiej pt. „Karolinka z Diamentowych Gór”: „W Korei wojna wychodzi naprzeciw przybyszom... wylania się z ludzkich losów, ze wspomnień, z książek. Niepodobna przed nią uciec”.

Zbiory muzealne to wstrząsający dokument zbrodni. Przypominają także pierwsze próby ingerencji amerykańskich; tutaj przechowywany jest łańcuch i kotwica z „Generała Shermana”, książeczki do nabożeństwa w języku koreańskim oraz różańce z czasów, kiedy amerykańscy misjonarze pod pretekstem nawracania na katolicyzm uprawiali działalność szpiegowską; świadczą o tym urządzenia nasłuchowe, znalezione w podziemiach kościoła w prowincji Kan-won. 17 października 1950 roku (stojąc przed fotografiami uświadomiam sobie, że właśnie dzisiaj jest 17 października) Amerykanie zajęli Sinczhon, skrupulatnie wypełniając polecenie komendanta Harrisona: wszystko co żywe — obrócić w popiół. W koreańsko-rosyjskojęzycznym prospekcie z muzeum barbarzyńskie metody okupantów przyrównuje się do zbrodni hitlerowskich w Oświęcimiu.

Czu Dzun Ir — robotnik z oczyszczalni ryżu — został przywiązany do dwukołowych wozów i rozerwany. Przewodniczącej związku kobiet w fabryce tytoniu — Pak Jon Gio — oprawcy wyrywali nożem paznokcie, wycięli piersi i oczy. Przesłuchując Kim Czhi Son na jej oczach zakopali żywcem pięcioletnią córkę. Dom wypoczynkowy dla robotników w Onczhonie zamienili na dom rozrywki. Tutaj ściągnęli koreańskie kobiety, zgwałcili je, po czym zepchnęli do pobliskiej sadzawki i rozerwali granatami. Kilkunastoletni Lim Hen Sam, przewodniczący pionierskiej organizacji szkolnej w Samczhonie, został zamęczony w nieczynnym szybie kopalni. Z Dzon Dzung Hana zdarto nożem skórę. Di Ryong Dziu została spalona żywcem. W jeziorze Sowong utopiono ponad tysiąc kobiet. Dwa tysiące dorosłych i dzieci, którzy przechodzili przez most od strony góry Kuol zastrzelono lub poderżnięto im gardła. Wsie Unpom, Riong-dang, Soktan, Mangu zostały zamienione w wielkie cmentarzyska.

Schodzę do przedwojennego schronu, mieszczącego się pod budynkiem powiatowego komitetu partii. Okopcone ściany oświetla niska żarówka: tutaj Amerykanie oblali benzyną i spalili ponad 900 osób.

Wjeżdżamy na wzniesienie za miastem, gdzie porastają murawą dwa okrągłe stożki mogił. Jeden kryje zwęglone szczątki 400 kobiet, drugi — ich 102 dzieci, które napojono benzyną i spalono w pobliskich magazynach 7 grudnia 1950 roku. W obydwu zachowanych budynkach kontrastują z osmalonymi ścianami kolorowe ogromne obrazy, przedstawiające barbarzyństwo okupantów. Usiłując zatrzeć ślady zbrodni Amerykanie zrzucili bomby na magazyny. W jednym z nich do dzisiaj zieje ogromna wyrwa, przez którą wąż za nami paroletnie sinczhońskie dzieciaki.

W marcu 1952 roku w Sinczhonie dokonały wizji lokalnej lustracyjne grupy Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawników-Demokratów i Światowej Federacji Demokratycznej Kobiet. Wkrótce poszły w świat szczegółowe raporty o zbrodniczej działalności amerykańskich żołnierzy wobec cywilnej ludności Korei.

Przedstawiciel sinczhońskich władz powiatowych przyjmuje mnie herbatą. — Nasz naród nie chce wojny — mówi. — Ale też i nie boi się jej. Imperialiści amerykańscy nadal stoją na linii demarkacyjnej. Jeżeli rozpoczną nową wojnę, odpowiemy jeszcze bardziej zdecydowanie.

Dotychczas jadłam posiłki oddzielnie. Dzisiaj zasiadamy do obiadu razem, także kierowca „mojego” mercedesa. Restauracja znajduje się tuż obok muzeum. Usiłuję zapamiętać koreańskie nazwy potraw: rozdrobniona kiszona kapusta — *kimczhi*, sałatka z kiełków sojowych — *khon namul*, smażone kawałeczki wieprzowiny — *tedzi kogi bokum*, ryż — *pap*. Nie mogę zapomnieć koszmarnych obrazów. Ryż staje mi kością w gardle...

W pheniańskiej dzielnicy Joun znajduje się muzeum zwycięstwa w ojczyźnianej wojnie wyzwolenczej. W osiemdziesięciu salach zgromadzono tysiące eksponatów, które przypominają rolę naczelnego wodza Armii Ludowej, poszczególne operacje i najważniejsze walki, uczestników trzyletnich krwawych zmagania. Wszyscy pracownicy muzeum to bohaterowie tej wojny. Kim Sen Dzin, którego mundur zdobi wiele odznaczeń, daje się namówić na chwilę wspomnień: — Podczas boju zastrzeliłem strzelnicę wroga własnym ciałem. Jedna z kul

przebiła mi pierś. Myślałem, że umieram, lecz za wielkiego wodza, ojczyznę i prawdę oddałbym swoją młodość i życie.

W Galerii Sztuki nad rzeką Tedong wśród rzeźb bohaterskich żołnierzy z łatwością rozpoznałam później rysy Kim Sen Dzina.

W muzeum zbudowano także panoramę z obrotową podłogą. W ciągu piętnastominutowego seansu razem z tłumem zwiedzających, młodziutkich żołnierzy, uczestniczę w poszczególnych etapach bitwy o Tedzon. Panorama jest imponująca. Czterdzieści osób namalowało w ciągu czterech miesięcy dwadzieścia tysięcy postaci w scenach batalistycznych. Wysokość obrazu wynosi 15 metrów, obwód zaś 32 metry. Odległość od galerii obserwacyjnej — 13 metrów.

Heroiczne zmagania narodu koreańskiego i jego sojuszników w walce o niepodległość i samostanowienie znalazły także swój wyraz w monumentalnych pomnikach. Na wzgórzu Czudzak, w pheniańskich górach Tesong znajduje się cmentarz rewolucjonistów. Od wspaniałej bramy, stylizowanej według dawnych tradycji architektonicznych, ponad trzysta szerokich na 40 metrów stopni prowadzi do zespołu rzeźb figuralnych, a następnie do uporządkowanych szeregów mogił, nad którymi bieleją postumenty z połączanymi popiersiami z brązu. Wśród najbardziej zasłużonych, w centralnym miejscu, przed potężnym rozwiniętym sztandarem z czerwonego kamienia, stoi popiersie żony Kim Ir Sena, rewolucjonistki.

— Kim Dzong Suk *dongdzi* — szepcze z szacunkiem mały pionier, który przesuwa się w gęstym tłumie zwiedzających. Wszyscy — kobiety i mężczyźni mają wpięte w klapy ubrań i w bluzki znaczki z wizerunkiem wielkiego wodza. Jest ich kilka rodzajów. Niegdyś były przyporządkowane określonym grupom pracowniczym. Teraz te różnice zatarły się. Nikt swojego znaczka nie pozbywa się, bo nosić go jest zaszczytem. Nikt też nie dałby się namówić na oddanie go czy zdobycie drugiego dla cudzoziemca. Sama zabiegałam o to usilnie i bezskutecznie.

W parku na górze Heban wznosi się pomnik ku czci poległych żołnierzy Armii Ludowej. Ale są też pomniki, które upamiętniają pomoc sojuszników.

W zachodniej części Phenianu, u południowego podnóża góry Moranbong, w sierpniu 1946 roku został postawiony pomnik ku czci żołnierzy radzieckich



poległych w walce z Japończykami. W sierpniu 1985 roku pomnik zrekonstruowano. Tekst na płycie pod obeliskiem głosi: „Wielki naród radziecki rozgromił japońskich imperialistów i oswobodził naród koreański. Poprzez krew żołnierzy radzieckich przelaną podczas wyzwolenia Korei jeszcze bardziej umocniły się więzy przyjaźni między narodami koreańskim i radzieckim”.

Od północnej strony Moranbongu w pobliżu placu łuku Tryumfalnego postawiono w październiku 1959 roku „Uyjthap” — „monument przyjaźni”, przypominający udział w wojnie wyzwolenczej i powojenną pomoc chińskich ochotników przy odbudowie i rozbudowie Korei.

W ciągu trzech lat wojny Amerykanie zrzucili na każdy kilometr kwadratowy Korei Północnej po osiemnaście bomb, zamieniając miasta i wsie w jedno pogorzeliśko. Na sam Phenian w czasie 1431 nalotów spadło około czterysta trzydzieści tysięcy bomb i pocisków, czyli po jednej na każdego mieszkańca miasta. Ludzie w całym kraju pozbawieni byli dobytku i dachu nad głową. Zrujnowany był dopiero co rozwijający się przemysł, rolnictwo i cała gospodarka narodowa. Jednak Korea odrodziła się z popiołów, chociaż Amerykanie obiecywali, że nie podniesie się przez sto lat. Kim Ir Sen wychodząc z założenia, że istnieje naród, terytorium, partia i władza wezwał wszystkich obywateli do odbudowy. Kilka lat wystarczyło, żeby wytężona praca narodu przy wymiernej pomocy materialnej państw socjalistycznych, w tym również Polski, przyniosła rezultaty. W ciągu powojennej trzylatki rozbudowany został przemysł ciężki, w rolnictwie przekroczono poziom przedwojennej produkcji zbóż. W okresie pięciu lat gospodarka rolna przeszła całkowicie na system spółdzielczy. Naród socjalistycznej Korei wszedł na drogę intensywnego rozwoju, z bezgranicznym zaufaniem podporządkowując się twardym społecznym rygorom, narzuconym przez prezydenta Kim Ir Sena. Takim językiem mówi się tutaj o osiągnięciach.

Każda trasa spaceru po imponująco odbudowanym i rozbudowanym Phenianie niewątpliwie wyprowadzi przybysza w miejsca kultu wielkiego wodza. Poprosiłam pewnego dnia Pak Won Sena o wytłumaczenie tego fenomenu, który jest zupełnie niezrozumiały dla współczesnego Polaka.

— Przez całe wieki nasz lud oczekiwał na przywódcę — wykladał mi Pak. — Dopiero wielki wódz Kim Ir Sen wyzwolił kraj i zrobił dla niego tak wiele, jak nikt dotąd. Kiedyś odwiedził Koreę pewien Niemiec. Gdziekolwiek przebywał,

wszędzie podkreślano, że wszystkie nasze osiągnięcia to rezultat mądrego kierownictwa Kim Ir Sena. Bardzo tym poirytowany Niemiec postawił pytanie: Jak to możliwe, żeby jeden człowiek tyle zdołał? Wtedy ja go spytałem, czym wykonuje swoją robotę. Odpowiedział, że rękami. — Tylko rękami, głową nie? — pytam. — Tak, rękami. Więc mówię mu: — Jeżeli tak, to ta głowa jest do odcięcia, bo zbędna. Wtedy on stwierdził, że jednak bez głowy ręce nie mogą pracować. Ja mu na to odpowiedziałem w ten sposób: — Tak, jak bez głowy nie pracują ręce, tak bez wodza naród nie może prowadzić socjalistycznej rewolucji. On zawsze był i jest wśród mas ludowych i wsłuchując się w głos narodu ustala plany polityczno-gospodarczego rozwoju kraju. Dla niego nie ma bezdroży — zawsze dotrze do ludzi. Dlatego naród kocha go i szanuje. Dlatego z Wielką czcią nazywamy go wielkim wodzem i przywódcą, słońcem naszego narodu. Dlatego wszędzie znajdują się jego podobizny, a wskazówki i dyrektywy są dla nas prawem, bo wszystkie służą poprawie życia mas ludowych. Podczas uroczystości społeczeństwo wita go ze łzami i okrzykami radości, a kiedy pokazują go w telewizji, ludzie z niepokojem patrzą na jego siwe włosy.

W 1984 roku syn Kim Ir Sena — sekretarz KC Partii Pracy Korei i członek Prezydium Biura Politycznego — obwołany został sukcesorem. O uzasadnienie tej decyzji także proszę Pak Won Sena.

— Masy narodowe — usłyszałam — tworzą historię i rozwijają ją, ale kierownictwo i wskazówki pochodzą od wielkiego wodza. Nasz naród jest świadom od dawna, że bez wodza nie osiągnie żadnych sukcesów, więc już wcześniej uznał drogiego przywódcę Kim Dzong Ila za spadkobiercę. Komunizm nie jest przecież sprawą jednego pokolenia, a ludzkie życie nie jest wieczne — podsumował swój wykład Pak.

Życie i działalność Kim Ir Sena stanowią główny temat twórczości rzeźbiarzy, malarzy, literatów, reżyserów i kompozytorów. W westybulach wszystkich obiektów użyteczności publicznej znajdują się małe posągi lub freski pokazujące wodza w otoczeniu rozpromienionego narodu lub też przygarniającego w swoje objęcia szczęśliwe dzieci. Wzdłuż autostrad i szos przyciągają wzrok ogromne wielobarwne obrazy ilustrujące jego codzienną troskę o ludzi i najdrobniejsze sprawy kraju. Taką samą wymowę mają wszystkie granitowe i marmurowe tablice, na których wygrawerowane czerwone napisy informują o czasie i celu obecności tu wielkiego wodza. Coraz częściej też pojawiają się wizerunki Kim Dzong Ila. Wszystko to jest — jak twierdzą lektorzy w muzeach i zakładach pracy

— zasługą samego społeczeństwa, bowiem obydwaj przywódcy są uosobieniem skromności i prostoty.

14 kwietnia 1982 roku odsłonięty został w Phenianie Łuk Tryumfalny, sławiący rewolucyjną działalność Kim Ir Sena od czasu opuszczenia ojczyzny do zwycięskiego powrotu po dwudziestu latach. Nazajutrz odbywała się wielka ceremonia odsłonięcia monumentu idei dżucze, symbolizującego nieśmiertelność filozofii i praktyki systemu rewolucyjnego autorstwa Kim Ir Sena.

Obydwa obiekty powstawały równolegle w ciągu niespełna dwóch lat pod kierownictwem inicjatora ich budowy — Kim Dzong Ila. W uroczystościach, które przypadły w siedemdziesiątą rocznicę urodzin Kim Ir Sena, uczestniczyły głowy kilku państw afrykańskich oraz wielu innych gości zagranicznych, nie licząc 200 tysięcy Koreańczyków. Z mieszkańców Phenianu rekrutowali się ochotnicy budujący granitowo-marmurowe dzieła architektury, wykonane z wielką dbałością o treść i formę.

Łuk Tryumfalny stoi u podnóża góry Moranbong, u zbiegu ulic Kesong i Czhilsonmun. Wracając z cmentarza rewolucjonistów zatrzymaliśmy się tam z Kim Kwan Ho. Tego dnia, 10 października, przypadało święto z okazji czterdziestej pierwszej rocznicy utworzenia Partii Pracy Korei. Ruch był więc niewielki, pozwalający na swobodne obejrzenie sześćdziesięciometrowej budowli otoczonej grupami rzeźb i zwieńczonej trzypiętrową konstrukcją stylizowaną na starodawne dachy. Wokół pobliskiego stadionu im. Kim Ir Sena i przy stacji metra, które samo w sobie jest wielką galerią sztuki współczesnej w podziemiu, panował ożywiony ruch,<sup>^</sup> od restauracji „Moran” schodziły otoczone przyjaciółmi pary nowożeńców. Na tle Łuku Tryumfalnego robili sobie właśnie jedno z serii ślubnych zdjęć: przystojny chłopak w ciemnym garniturze z obowiązkowym znaczkiem i czarnowłosa panna młoda w blad różowej, długiej do ziemi *thonczimie* i *czogori*, *teraz już właściwie nampion* i *anhe* — mąż i żona. Skierowałam na nich obiektyw równocześnie z fotografem.

Przy ulicy Czhilsonmun, u stóp wzgórza Mansu, wznosi się w nieustającym skoku tysiąca li dziennie ku przyszłości skrzydlaty koń Czhollima. Pomnik ten wzniesiono z okazji czterdziestej dziewiątej rocznicy urodzin Kim Ir Sena, który upowszechnił ruch Czhollima u progu pięciolatki podczas plenum KC w 1956

roku — jako generalną linię partii w budownictwie socjalizmu, obowiązującą do dzisiaj cały naród.

Ponad pomnikiem góruje na szczycie wzgórza Muzeum Rewolucji Koreańskiej, którego fronton ozdobiony jest granitowym wyobrażeniem świętej dla Koreańczyków góry Pektu-san. Na tle tej mozaiki wyniosła, dwudziestometrowa postać Kim Ir Sena z wyciągniętą ręką. W tym kierunku, za rzeką Tedong, widnieje dwudziestometrowy płomień wieńczący stu pięćdziesięciometrowy obelisk monumentu dzucze. Po obydwu stronach posągu zdobią wzgórze wysokie na 22,5 metra i długie na 50 metrów kompozycje czerwonych, granitowych sztandarów otoczonych grupami figur z brązu, poświęcone walce narodu z Japończykami oraz kolejnym etapom rewolucji. Ten tzw. wielki monument skompletowano w sześćdziesiątą rocznicę urodzin prezydenta. U jego stóp leżą wąsko splecione tutaj zwyczajem bukiety kwiatów.

Na stopnie schodów wspina się grupa malców z przedszkola. Ustawieni w równym szeregu schylają się w niskim pokłonie, po czym pod nadzorem wychowawczynie skandują zgodnym chórem wyuczony tekst. — Co one mówią? — pytam Kwan Ho. — Dziękują wielkiemu wodzowi za swoje szczęśliwe dzieciństwo.

## **Ryżowiska nad Teodong-Gang**

Tak się składa, że trasa kilku moich wojaży wiedzie wzdłuż nurtu Tedong-gang. Mieszkam na jej prawym brzegu. Spośród czterech rzek przepływających przez Phenian, ta jest największa. Pothong, niegdyś „rzeka łez” — dziś „rzeka szczęścia”, łączy się z falami Tedongu na dalekim, zachodnim przemieściu stolicy za mostem Czun-song, przecinającym wysepkę Suk pośrodku rzeki. Jak liany od palmowego pnia, tak od brzegów Tedong-gang wiją się rzeczki Habdzan i Mudzin.

Tedong biorący swój początek w wysokich skalach gór Ranrim, rozlewając się coraz niżej krętym korytem ku Morzu Żółtemu, poddał się woli człowieka: na odcinku od Sunczonu w górnym biegu aż do Phenianu trzykrotnie przecięry rzekę zapory ze śluzami; czwarta, Zachodniomorska, zamknęła ujście Tedongu

do morza na szerokości ośmiu kilometrów; piątą, Hadańską, budują żołnierze sprawdzeni już na wszystkich poprzednich. Wszechstronne wykorzystanie rzeki służy korzystnemu przekształcaniu przyrody, a więc rozwojowi transportu wodnego, nawadnianiu wielohektarowej powierzchni gruntów uprawnych oraz zapewnieniu dostaw wody i energii elektrycznej dla przemysłu. Mnie obiecano pokazać zaporę i elektrownię jeszcze wyżej, w pobliżu miasta Tokczhon.

Dwudniowy relaks w górach Miohiang zakończył się zamglonym porankiem i koniecznością wyruszenia w drogę powrotną do stolicy, gdzie dotarliśmy dopiero pod wieczór. Mijany *pejzaż* oglądałam jak przez zaparowaną szybę: ryżowe snopy odbijające się w zamierającym jesienią lustrze wilgoci, faliste schody do wspinania się kukurydzy po górskich zboczach. Samochód lawirował pomiędzy ciężarówkami o karoseriach przypominających mi dzieciństwo i przyczepami ciągników wypełnionymi snopami, workami i ludźmi. Jakimś cudem nie zahaczał o obojętne, rude woły zaprzężone do dwukótek *dalgudi*. Oznakowanie trasy na Tokczhon, podobnie jak i na innych szosach w Korei, nie jest widocznie zbyt precyzyjne, bo moi przyjaciele, jadący tędy także po raz pierwszy, kilkakrotnie rozpytywali o drogę. Mamy za sobą czterokilometrowy górski tunel.

Kanion Tedongu otworzył się przed nami nagle. Z jednej strony zbiega góra porastająca wszystkimi barwami jesieni, z drugiej — domy przedmieścia staczające się niemal ku dolinie rzeki, której właściwie nie ma. Przez szerokie koryto z wybrzuszonymi, kamienistymi wysepkami dna woda przecieka płasko i leniwie na południowy zachód. Na zaporę wjeżdżamy mijając stojącego na warcie żołnierza. Przy szlabanie karnie skupia się czerwono-granatowy dwuszereg młodzieży szkolnej. Korzystając z przywileju zagranicznego gościa, zobaczę wszystko przed dziećmi. A nawet znacznie więcej.

Od wartownika do wjazdu w tunel przejeżdżamy 1200 metrów, całą długość zapory. Poniżej balustrady rozlewa się sztuczne jezioro Komsong. Wychylam się po przeciwległej stronie: siedemdziesiąt metrów w dół strużki wody pełzną po betonowej ścianie. Uwięzione masy wody czekają w zbiorniku. Samochód zawraca. Przed nami nisko zawieszony nad płytkim nurtem most, droga po drugiej stronie pod górę i wjazd w biały, oświetlony wylot tunelu wprost do środka elektrowni. Elektrownia w środku góry.

Główny inżynier Dzan Bon Siok zaprasza mnie do salki posiedzeń, oświetlonej lampami. Rzecz jasna, nigdzie tu nie dociera światło dzienne. Na początek wysłuchuję informacji o inicjatorze budowy elektrowni — wielkim wodzu, który osobiście przed rokiem spotkał się tutaj z robotnikami. Na białym obrusie z płótna pojawia się herbata i woda sodowa. Inżynier mówi o roli swojego zakładu:

— Elektrownia spełnia trzy główne zadania. Po pierwsze chroni Phenian przed zalaniem w okresie opadów deszczu. W jeziorze Komsong możemy zatrzymać półtora miliarda metrów sześciennych wody. Drugą naszą powinnością jest zapewnienie wody ośrodkom przemysłowym i wsiom na niżej położonych terenach. Jako trzecie zadanie — wytwarzamy energię elektryczną. W jeziorze zatrzymujemy maksimum wody, a jej nadmiar służy produkcji prądu. Cztery generatory o mocy pięćdziesięciu tysięcy megawatów każdy i dwa transformatory po dziesięć tysięcy kilowatów produkują energię elektryczną, wystarczającą na pokrycie potrzeb powiatów Pukczhan i Kamge oraz okolic. Wytwarzamy energię zgodnie z dyrektywami systemu centralnego.

Niezwykłe. Znajdujemy się 203 metry nad poziomem morza i jednocześnie pod ziemią. Inżynier Dzan zdziwiony, że do jego królestwa zawitała kobieta-cudzoziemka, oprowadza mnie po obszernych halach udzielając jednocześnie odpowiedzi na wszystkie pytania. Oglądam z kilku poziomów potężne turbogeneratory otoczone „piętami” podłóg. Dwa wyprodukowano w Korei, dwa przywieźli Austriacy, pod których nadzorem montowali je sami Koreańczycy. Jeden generator jest obecnie w remoncie. Po raz pierwszy w życiu widzę gigantyczne transformatory pod ziemią. Być może na otwartym terenie nie robiłyby takiego wrażenia. Stąd energia przekazywana jest trzysta metrów wyżej. Zaglądamy do pomieszczenia sterowniczego. Na tablicy rozdzielczej schematy działania poszczególnych urządzeń i pulpit sterowniczy z kolorowymi klawiszami. Ciepło, sucho. Inżynier mówi, że zaporą sięga tysiąc metrów w głąb góry. Takie „zbrojenie” było konieczne, ponieważ wapienna skała jest przepuszczalna i na świecie bardzo rzadko drąży się w wapieniu podobne elektrownie. Za to teraz nie przecieka do wnętrza ani kropla wody.

Jeszcze kilka danych o załodze. Spośród 400 pracowników 60 jest zatrudnionych bezpośrednio przy eksploatacji generatorów. Część z nich to studenci i absolwenci pełnej szkoły średniej oraz technikum. Pozostali ukończyli

odpowiednią szkołę zawodową. W eksploatacji pracuje 5 inżynierów, a w działach technicznym i kierowania produkcją — 10. Większość załogi to ludzie młodzi, średnia wieku około 30 lat. Trzydzieści procent to kobiety, ale one zajmują się głównie „naciskaniem guzików”.

Teraz dane o zaporze: 70 metrów wysokości, lustro wody w jeziorze normalnie 50 metrów, maksymalnie — 67. Jeszcze wyżej, nad Tokczhonem, będzie zbudowana elektrownia Jonhunska, a zapora zatrzyma tam wodę w zbiorniku wysokim na 120 metrów. Wtedy już na pewno nie zabraknie jej dla całego przemysłu wzdłuż Tedong-gang. Powietrze pod ziemią napędzane przez system wentylacyjny jest normalne, a mimo to pragnę jak najszybciej wyjść na słońce. Nawet przymglone.

Zwiedzając Koreę trudno oprzeć się refleksji. Piętnaście procent powierzchni nadaje się pod uprawy, biorąc pod uwagę także płaskowyże. Wykorzystany jest każdy skrawek gruntów ornych, nawet poldery, czyli ziemie, które udało się wydrzeć morzu z grubą warstwą lessów i odsolic. Korea osiągnęła samowystarczalność żywnościową. W ciągu czternastu lat kraj został uprzemysłowiony. Człowiek, któremu na przeszkodzie w jego zamierzeniach stoją góry, drąży je i podobnie jak w przypadku rzek wykorzystuje do swoich celów.

W sierpniu 1985 roku z okazji czterdziestolecia wyzwolenia Korei zostały opublikowane dane ekonomiczne ostatniego roku drugiej siedmioletki, który przypadł na rok 1984. W porównaniu z rokiem 1946 (z którego danych brak) produkcja przemysłowa wzrosła 431 razy, środki produkcji — 486 razy, natomiast globalna produkcja przemysłu maszynowego — 1536 razy, a stali - 1310 razy, co wygląda dość malowniczo. Roczny przyrost produkcji przemysłowej w tym okresie wynosił 17,3 procenta. Należy jednak wziąć pod uwagę zniszczenia jakie spowodowali opuszczający Koreę okupanci japońscy oraz następstwa wojny wywołanej przez Amerykanów w połowie XX wieku.

Japończycy zostawili w spadku Koreańczykom wystygłe piece, zatopione kopalnie węgla i rud oraz puste sejfy, 10 sierpnia 1946 roku Kim Ir Sen opublikował „Prawo o nacjonalizacji przemysłu, transportu, środków łączności, banków i innych instytucji”, zgodnie z którym wszystko przeszło w ręce narodu koreańskiego jako jedyne, prawowitego gospodarza. W końcu 1947 roku rozpoczęto budowę 822 przedsiębiorstw przemysłowych, w tym — fabryki

metalurgicznej Hwanhe i stalowni w Kansonie. Wszystko jednak legło w gruzach podczas kolejnej wojny. Znowu zaczynano od podstaw.

Pak Won Sen tłumaczył mi to pewnego dnia: — Gdyby te wszystkie przemiany dokonały się w tak krótkim okresie w kraju kapitalistycznym, uznano by to za cud nad cudami. Ale kapitaliści bogacili się grabiąc inne narody, a my doganiamy ich gospodarując samodzielnie. Rozwinięte kraje kapitalistyczne mają nędzarzy i bezdomnych, a u nas nikt nie zaznaje głodu i każdy ma dach nad głową.

Radca Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą — Ryu Hae Jong wprowadził mnie w zasady gospodarki koreańskiej po wojnie: — Podnieśliśmy się z ruin i od tamtego czasu nasz naród aktywnie uczestniczy w rewolucyjnych przemianach. Kiedyś wytwarzaliśmy tylko prymitywne narzędzia rolnicze, obecnie produkujemy wyposażenia całych fabryk, kompletne urządzenia dla elektrowni, przemysłu chemicznego itp. Podobnie jest w przemyśle lekkim. Teraz realizujemy perspektywiczne zadania budownictwa socjalistycznego w dziesięciu punktach, nakreślone przez VI Zjazd Partii Pracy Korei w październiku 1980 roku. Do końca lat osiemdziesiątych powinniśmy produkować 100 mld kilowatów energii elektrycznej, 120 mln ton węgla, 15 mln ton stali i 1,5 mln ton metali kolorowych, 20 mln ton cementu, 7 mln ton nawozów sztucznych, 1,5 mld metrów tkanin. (Przed wojną na jednego mieszkańca przypadało 14 centymetrów materiału; docelowa produkcja 1,5 mld metrów oznacza 83 metry tkanin rocznie na jednego obywatela.) Planuje się także osiągnięcie 5 mln ton połowów morskich, 15 mln ton zbóż oraz zagospodarowanie 300 tys. hektarów zasolonych gruntów wydartych morzu.

Realizację tych monumentalnych (jak wszystko w Korei) zadań mają zagwarantować kolejne powstające obecnie elektrownie ciepłne, a zwłaszcza wodne, bogate złoża węgla w Andżu, rozwijające się kombinaty metalurgiczne i wielkie fabryki cementu. Wysoką jakość tkanin powinien zapewnić sinczhoński kombinat winalonowy. Ojcem włókna winalonowego, które otrzymuje się z antracytu i wapienia jest naukowiec Li Syn Gi.

Kiedy pod koniec pobytu w Korei przyjął mnie Li Ryon Sik — wiceprzewodniczący Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą, usłyszałam m.in., że budownictwo socjalistyczne w Korei rozwija się przy pomocy innych krajów socjalistycznych. — W czasie wojny i po niej — powiedział pan Li —



Polska okazała nam wielką pomoc materialną i moralną. Nasz naród wierzy, że stosunek Polski do nas nie uległ zmianie. Wierzmy też, że przy waszej pomocy i innych krajów socjalistycznych Korea będzie rozwijała się zgodnie z ideami dżucze, ideami samodzielności.

Na VI Zjeździe Partii Pracy Korei w 1980 roku wytyczono perspektywy społeczno-ekonomicznego rozwoju KRL-D, co oznacza, że na bazie idei dżucze dokonują się przeobrażenia całego społeczeństwa zgodnie z linią trzech rewolucji: ideologicznej, technicznej i kulturalnej. Podstawowy kierunek działań wiąże się z przyspieszeniem postępu naukowo-technicznego w gospodarce, rozszerzeniem eksportu oraz podnoszeniem poziomu życia społeczeństwa.

Wszystko to dzieje się na zasadzie samodzielności i rozwijania gospodarki o własnych siłach. Ale samodzielna wanie oznacza— jak głosi Kim Dzong Il — *„budowania gospodarki przy zamkniętych drzwiach. Samodzielna ekonomika odrzuca ekonomiczne panowanie i ujarzmianie jednych państw przez inne kraje. Jednakże nie lekceważy ona międzynarodowej współpracy ekonomicznej. W szczególności ścisła współpraca ekonomiczna i techniczna krajów socjalistycznych i krajów rozwijających się odgrywa ważną rolę w zapewnieniu im samodzielności ekonomicznej i umocnieniu ekonomiki narodowej”*.

Koreański marsz ku przyszłości odbywa się samowystarczalnie i zespołowo ze szturmówkami, potem zalewającym oczy i dziarską pieśnią na ustach.

Po ulicach miast przemykają szwedzkie volva, japońskie toyoty i nissany. W szpitalach sporo japońskiej aparatury medycznej, również część japońskich maszyn wytwarza ołówki z syntetycznej żywicy. Wiele jest też japońskich telewizorów kolorowych. Oczywiście, pochodzą one z importu.

Z Polski i innych krajów socjalistycznych importowana jest myśl techniczna i maszyny, W wonsańskim Kombinacie Taboru Kolejowego wprawdzie nie byłam, ale pożyczam od Zbigniewa Suchara z „Perspektyw” informację o dotychczas stojących tam urządzeniach — obrabiarce z „Rafametu”, tokarce z Pruszkowa i sprężarce z Chrzanowskiej Fabryki Lokomotyw. To, naturalnie, starocie. Jednym z najświeższych przykładów polsko-koreańskich więzi przemysłowych na wielką skalę jest chyba budowa zakładów silikatowych.

W hotelu „Pyongyang” mieszka od wielu miesięcy, a w Korei w ogóle od blisko dwóch lat, inżynier Henryk Rybak z Warszawy. Wieczorne rozmowy z — bądź co bądź — obeznanym z tym krajem Polakiem przeciągały się do późnych godzin

nocnych przy koniaku, kawie i osobiście przez gospodarza przyrządzanych krewetkach.

Pierwsze zakłady silikatowe w Korei powstały na mocy kontraktu zawartego pomiędzy centralami handlu zagranicznego: koreańskiej „Daesong” i polskiej „Polimex-Cekop”. Wytwórnice betonu komórkowego pochodzą ze ZREMB-u w Solcu Kujawskim, automatyczne prasy silikatowe ze ZREMB-u „Makrum” w Bydgoszczy, aparaturę elektroniczną do sterowania prasami wyprodukował tamtejszy „Famor”. Inżynier Rybak, nadzorujący montaż urządzeń w trzeciej już fabryce, reprezentuje generalnego ich dostawcę — warszawski „Fabex”-ZREMB (Przedsiębiorstwo Dostaw Eksportowych Wytwórni Materiałów Budowlanych).

W lipcu 1985 roku fachowcy z Polski przyjechali do Phi Hien nad granicą chińską (prowincja Północny Phenian). We wrześniu rozpoczęli prace w Hamhyngu — centrum administracyjnym prowincji Południowy Hamgen nad Morzem Japońskim. Tutaj kierownikiem grupy był inżynier Tadeusz Buczkowski (nadzorujący niegdyś razem z inżynierem Rybakiem budowę „silikatów” w Hanoi w Wietnamie). Urządzenia sterujące montował inżynier elektronik Marek Czyżewski przy pomocy inżynier Ewy Krajczewskiej, inżyniera Krzysztofa Olszewskiego z „Famoru” i elektryka Pawła Miszewskiego z „Makrum”. Te nazwiska zapamiętają fachowcy koreańscy. Wrażenie najważniejsze inżyniera Rybaka to zdziwienie zdumiewającym tempem budowy tych dwóch zakładów.

— W Phi Hien weszliśmy na błotnisty teren - wspominał - i w ciągu jednego roku budowa siedmioprasowego zakładu, jakiego dotąd nie ma w Europie, została zakończona. Do Polaków należał nadzór techniczny i pomoc w rozruchu technologicznym. Całość montowali i budowali Koreańczycy. Równocześnie wzniesiono trzystumieszkańciewe osiedle dla załogi w kilkupiętrowych blokach: 180 mieszkań trzypokojowych i 120 dwupokojowych. W tym

samym czasie powstało zaplecze: sklepy, punkty rozdziału ryżu, przedszkole, żłobek, restauracja i hotel. Z wielką troską zajmował się wszystkim od strony architektonicznej i estetycznej bardzo sympatyczny Sim Il Ung —jeden z sekretarzy komitetu partii prowincji Północny Phenian w Sinyidzu. Pod jego okiem posadzono od razu kilka tysięcy drzew owocowych i cedrów, opatrzonych tabliczkami z nazwiskami opiekunów poszczególnych sadzonek.

Łażnia dla załogi to po prostu marmurowy pałac z sauną i niewielkim basenem w otoczeniu skał. Stołówka pracownicza o półokrągłym kształcie wysunięta jest

nad basenem, w którym pływają ryby i działa system fontann. Na budowie zakładu i osiedla przebywało równocześnie dwa tysiące ludzi i nikt sobie nie przeszkadzał. Wiele męskich prac wykonywały dziewczęta — co dzień w świeżo odprasowanych, czystych ubraniach roboczych. Równie czysto, wręcz przesadnie, jest wszędzie na terenie zakładów pracy i na ulicach w Korei. Nikt tutaj nie rzuci pod nogi niedopałka papierosa, w Phenianie po prostu na ulicy nie pali się.

Czy tylko praca? Otóż nie. Gospodarze z Phi Hien organizowali często polskim specjalistom wyjazdy do lasu na ognisko, gdzie konsumowano pieczone kasztany, surowe ryby, pieczone i gotowane małże, raz zaserwowano nawet bażanty. Zgodnie z koreańską tradycją, bardzo uroczyście świętowano sześćdziesiątą rocznicę urodzin pana Henryka. Tego dnia przyjechał osobiście dyrektor generalny „Daesongu”, który na cześć polskiego inżyniera wydał uroczystą kolację w hotelu. Przywiózł też prezent wykonany na polecenie Kim Dzong Ila — piękny ażurowy wazon z porcelany w stylu Korio.

Obecnie inżynier Rybak nadzoruje budowę wytwórni betonu komórkowego w Phenianie, gdzie wraz z nim pracuje trójka inżynierów ze „ZREMB-u” w Solcu Kujawskim: mechanik Eugeniusz Orlik, elektryk Wojciech Józwiak i technolog Roman Szlachta.

Nie udało mi się dotrzeć do Hamhyngu. Zdarzyło się jednak, że z dyrektorem tamtejszych zakładów cegły silikatowej siedziałam przy jednym stole już w miesiąc po powrocie z Korei. Było to w mieszkaniu inżyniera Rybaka, który z okazji jubileuszu swojej macierzystej firmy przywiózł do Polski na kilka dni szóstkę koreańskich „silikatowych” fachowców. Wśród nich był także inspektor ministerstwa budownictwa i jednocześnie aktualny tłumacz polskich inżynierów — mgr inż. elektryk Hań Hen Zu, nazywany po prostu Henio. Nie znamy się niby i znamy, pan Henio bowiem był sąsiadem z mojego hotelowego piętra, gdzie mieszkał podobnie jak inżynier Rybak, i podobnie jak każdy tłumacz wraz ze swoim podopiecznym obcokrajowcem. Polszczyznę włada biegle i z wyczuciem, co nie przychodzi mu trudno jako absolwentowi Politechniki Wrocławskiej. Poprzedni tłumacz pana Rybaka, Li Hang Sik z Phi Hien, trafił do Polski jeszcze w dzieciństwie. Przyjechał do Otwocka z grupą sierot, których rodzice zginęli od bomb amerykańskich. Z jego rodziny nie ocalał nikt. W Polsce ukończył szkołę średnią i dotąd uważa nasz kraj za swoją drugą ojczyznę.

Mój tłumacz, Kim Kwan Ho, także mieszka w hotelu, skąd po moim wyjeździe powróci do swojego pokoju w akademiku Uniwersytetu im. Kim Ir Sena. Po polsku mówi tylko: „dzień dobry”. Jest początkującym wykładowcą na filologii rosyjskiej w swojej uczelni, i jak na lektora, który nigdy nie był w Związku Radzieckim, bardzo dobrze radzi sobie z konwersacją i specjalistycznymi zwrotami.

Pracujący w ministerstwie spraw zagranicznych tłumacz Czo Dze Sin, wychowany w Lwówku Śląskim, absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego, tak znakomicie opanował język swojej młodości, że nosi się z zamiarem opracowania pierwszego słownika koreańsko-polskiego. Pomysł zupełnie realny, zwłaszcza jeżeli ma się za sobą lekturę w oryginale całego „Pana Tadeusza”...

Jedziemy nadal wzdłuż prawego brzegu Tedong-gang do celu, który mieści się wewnątrz góry Synri. Malownicze zbocza Synri weszły przed laty do historii. Podczas prac wykopaliskowych znaleziono tutaj żuchwę człowieka z okresu późnego paleolitu. Archeologiczny skarb oglądałam w Centralnym Muzeum Historycznym, gdzie wystawiona jest także głowa domniemanego „synriczyka”, wymodelowana na podstawie kawałka kości, naukowych dociekań i wyobraźni.

Od imienia góry przyjął też nazwę Kombinat Samochodów Synri. Dołem niespiesznie płynie Tedong, za rzeką zaczyna się przedmieście Tokczhonu. Nad wysokim brzegiem bieleją w pełnym słońcu budynki administracyjne i hale montażowe fabryki. 480 metrów nad poziomem morza i 280 metrów nad ziemią wewnątrz górskich tuneli i hal powstają detale. Bezimienny (z mojej winy, bo nie zapisałam) zastępca głównego inżyniera kombinatu wyprowadza mnie przed monumentalną, elegancką tablicę, której metrykę prezentuje na początek. Dwustusiedemdziesięciotonowy kamień — to dzieło inżynierów, którzy przy pomocy 1779 wrytych liter wyrazili zasługi Kim Ir Sena w tworzeniu i rozwoju fabryki.

Wejście do górskich wydziałów blokuje szlaban, budka wartownicza i dziewczyna w wojskowym uniformie. Takich dziewcząt na ulicach stolicy widywałam setki. Wewnątrz tunelu (identycznego jak kolejowe) otwiera się żelazna brama i łoskot maszyn natychmiast uświadamia nam, gdzie jesteśmy. Tu na łącznej powierzchni 25 tysięcy metrów kwadratowych wyłobiono w litym masywie góry (o obwodzie 4 km i przekroju w najdłuższym miejscu 1,8 km) przestronne hale połączone tunelami, z których na zewnątrz prowadzą cztery wyjścia. Robotników jest niewielu. Inżynier tłumaczy, że wyszli na obiad. Wiem,

że w Korei przerwa obiadowa to rzecz święta. Nie pomijamy jednak żadnego z wydziałów. W pierwszym produkuje się silniki do dziesięciotonowych ciężarówek „Ca-zu ho”. Wśród obrabiarek do korpusów silników jedna ma długość 50 metrów, a wykonali ją sami robotnicy. W jednej z hal powstają osie do kół, w innej — urządzenia do skrzyni biegów. — Dumni jesteśmy z tego — mówi inżynier — że również maszyny do produkcji wytwarzamy sami. Tylko ogumienie produkuje fabryka w Nampho.

W hali na powierzchni, gdzie po wyjściu z tunelu oślepia słońce, oglądam gotowe już podwozia do dwu i półtonowych „Sundi 58”. Te pomalowane na niebiesko karoserie znam już z autostrad i ulic. Z takich ciężarówek wymachiwały do mnie roześmiane grupy uczniów odwożonych ze stadionu po zakończeniu pokazów gimnastycznych. W niebieskich przewozi się także robotników spółdzielni produkcyjnych, w zielonych — wojsko. Przeszłam przez opustoszałe hale montażowe dwudziestosiemiotonowych „Kon-sol ho” i czterdziestotonowych „Kym-su san”. Te największe, z kołami o średnicy około dwóch metrów, oglądałam z daleka w przepastnej dolinie kopalni odkrywkowej rud w Ynriul nad Morzem Żółtym. W kombinacie zostałam zaprowadzona do osobno wybudowanego hangaru, gdzie w równym rzędzie stoi 18 samochodów: pierwszy wyprodukowany w 1958 roku, trzytysięczny z 1961 roku, pierwszy dziesięciotonowy z 1964, podobny ze zmodernizowaną karoserią z 1982 roku, itd. Pełny przegląd produkcji i historii kombinatu.

Przy herbacie dowiaduję się, że Kim Ir Sen, który osobiście wytyczył miejsce pod budowę fabryki w czasie działań wojennych w październiku 1950 roku, był tu już trzynastą razą, a Kim Dzong Il

— pięć razy. Roczna produkcja to dziesięć tysięcy najmniejszych ciężarówek, dwa tysiące dziesięciotonowych oraz pięćset dwudziestosiemiotonowych i czterdziestotonowych. Ta fabryka i jeszcze trzy inne pokrywają w pełni transportowe potrzeby kraju z traktorami włącznie. Na sześć tysięcy pracowników jest tysiąc inżynierów oraz dwa tysiące trzysta kobiet. W obrębie fabryki funkcjonuje żłobek i przedszkole, wieczorowa wyższa szkoła techniczna, szkoła rzemieślnicza oraz szkoła dla kierowców ciężarówek do dziesięciu ton. W Tokczhonie istnieje ponadto Instytut Samochodowy.

Pytam o warunki bezpieczeństwa i higieny pracy oraz socjalne, które przecież powinny być zbliżone do średniej krajowej. — W Korei człowiek jest dobrem najwyższym — informuje inżynier. — Dlatego robimy wszystko, żeby robotnicy wewnątrz góry nie odczuwali żadnych niedogodności. Na kolorowym planie

kombinatu pokazuje system wentylacyjny oraz schemat rur wyprowadzających fabryczne dymy przez komin usytuowany wysoko na górskim zboczu.

Zasada: osiem godzin pracy, osiem nauki, osiem wypoczynku pozwala tu, podobnie zresztą jak i gdzie indziej, na prowadzenie tego, co określa się jako naukę w systemie samokształcenia. Wartość produkcji przypadająca na jednego pracownika wynosi 10 tysięcy wonów rocznie. To wielki, wyczerpujący wysiłek. Toteż niezależnie od dwutygodniowych urlopów spędzanych w sanatoriach lub na wczasach kombinat funduje potrzebującym dwutygodniowe wieczorowe sanatorium w obrębie zakładu. W tym okresie pracownik po zakończonej zmianie nie wraca do domu, lecz pozostaje w specjalnym obiekcie, gdzie nocuje, ale przede wszystkim otrzymuje wysokokaloryczne posiłki (np. z mięsem). Kim Kwan Ho zapewnia, że podobne sanatoria funkcjonują również w innych zakładach pracy, także na uniwersytecie.

Potężne wywrotki „Kon-sol ho”, które rodziły się wewnątrz góry Synri wyglądają z daleka na nierównym, zadymionym zboczu kopalni odkrywkowej w Ynriul jak nieco bezradne chrabąszcze. Tutejsze złoża limonitu i hematytu zapewniły odkrywce miano największej na wybrzeżu zachodnim. Przemysł wydobywczy, opierający się na dobrze rozwiniętym górnictwie węglowym (antracyt, węgiel brunatny) i kopalniach rud (żelazo, magnezyt, miedź, wolfram, kobalt, grafit) to wielka nadzieja koreańskiej gospodarki, której szans upatruje się m.in. w coraz większym rozwoju bazy surowcowej.

W Ynriul rola kopalni nie kończy się na wydobyciu rud i przekazaniu ich drogą morską do Zjednoczenia Metalurgicznego Hwanhe. W 1974 roku rozpoczęto tu budowę taśmociągu. Na plastycznej mapie wybrzeża pobliskie wysepki łączy zdecydowana czerwona linia. To Kim Dzong Il osobiście wyznaczył trasę taśmociągu przez wyspy. Po uruchomieniu pierwszego odcinka o długości 2 kilometrów, zbędne masy ziemi i żwiru z odkrywki zatapiano w morzu przy pomocy taśmociągu. Drugą część budowano już na ziemnym nasypie dochodzącym do wyspy. Kim Dzon II przysłał helikopter do transportowania ciężkiego sprzętu, miał bowiem świadomość, że jednym pociągnięciem ołówka zmusił ludzi do bardzo trudnych zadań. Przysłał też robotnikom kożuchy, czapki i buty. W pół roku taśmociąg doprowadzono do wyspy Nym Gun, a wtedy morze zostało zamknięte przez połączenie dalszych wysp. Dokonano tego odcinając od morza po kolei 3,5 tysięcy hektarów powierzchni wody, potem 800 i znowu 800.

— Taśmociąg jest twórczym pomnikiem Partii Pracy Korei mówi inżynier z odkrywki. — Kim Dzong Il powiedział, że jeżeli tyle obszaru odsolimy i zagospodarujemy, to trzeba będzie zmieniać mapę zachodniego wybrzeża Korei.

Taśmociąg, który dotarł do wyspy, osiągnął długość 6100 metrów. W ciągu godziny przenosi 2,5 tysiąca ton ziemi. Przejeżdżamy samochodem przez tamę szerokości 160 metrów. Głębokość morza wzdłuż niej dochodzi do 13 metrów. Z wyspy brzeg z majaczącą w oddali odkrywką wydaje się bardzo daleki. W drodze powrotnej samochód zatrzymuje się przy zabezpieczonym, prostokątnym otworze, wypełnionym zielonkawą wodą: to prawdziwa głębokość morza. — Teraz mógłby tędy chodzić pociąg z Nampho — słyszę w dyspozytorni. — Cała trasa to tylko szesnaście kilometrów.

Walka z morskim żywiołem tutaj sprowadza się do niewielkich wymiarów. Zwłaszcza w porównaniu z zaporą Nampho, przemianową już po otwarciu za Zachodniomorską.

Im bliżej wsi Songwan, strzegącej ujścia Tedong-gang tu właśnie wpadającej do Morza Żółtego (Zachodniego) po 450-kilometrowej podróży od źródeł, tym bardziej utrudniony dojazd. Na drodze zrytej ciężkim sprzętem, powykręcanej i wybrzuszonej narasta ruch pojazdów budowlanych. Wzdłuż niej piętrzą się gigantyczne sterty stalowych rusztowań, dzisiaj już niepotrzebnych. Zapach morza, niewidocznego teraz spoza rudawych garbów ziemi, miesza się z kłębamii pyłu i spalinami samochodowymi. Tu jeszcze wciąż trwa praca, jeszcze wiele jest do uporządkowania.

Okaleczone, pozbawione wierzchołków skaliste góry nad brzegiem. Rdzewiejące strome zbocza, do których czepiają się ostatkiem sił chłopskie domki; ziemia w powiecie Ynriul cała chyba jest przesycona bogactwem rud. Morze Żółte miga błękitem pomiędzy czerwienią ziemi i wciąż jeszcze żywą zielenią jesiennej roślinności. Teraz — szare płyty prowizorycznej drogi, którą trzeba zręcznie ominąć samochodem. Środkiem wraca od zapory długi dwuszereg uczniów. Trafiam zresztą w różnych miejscach na szkolne wycieczki. Coraz więcej ludzi czymś zajętych, przechodzących we wszystkie strony, coraz więcej żołnierzy. Wreszcie biel rozkrzyżowanych budowli zapory. Biel monumentalnej rzeźby: z granitowych morskich fal wynurzają się sylwetki ludzi o twardych mięśniach i rysach — pogromcy żywiołu.

Czekamy wraz z innymi samochodami, aż obrotowy most zatrzyma się na właściwym miejscu, a fragmenty autostrady i szyn kolejowych zostaną idealnie połączone. Potem już z punktu obserwacyjnego na wyspie Phi można spojrzeć na zamglony północny brzeg spięty ośmiokilometrową zaporą z południowym. Kolejne, rzeczywiste zwycięstwo budowniczych.

W maju 1981 roku Kim Ir Sen wyznaczył ze statku odcinek pomiędzy wyspą Phi i wejściem w Zalew Kwanriański. Na jego apel wyruszyły do pracy trzy dywizje wojska, jak zawsze niezawodnego w budownictwie. W grudniu 1983 roku budowniczowie zamknęli czterokilometrowym pierścieniem grobli obszar 550 km kwadratowych między wyspą a cyplem Kytsalpuri. W ciągu dwóch miesięcy potężne pompy opróżniły basen z 10 milionów ton wody. W ruchomym, ilastym podłożu ludzie wiercili pionowe szyby, wypełniane następnie betonem. To podpory konstrukcji. Na budowę komór śluz szło codziennie 150—200 wagonów cementu.

Po dwóch latach wyrósł szkielet zapory i prowizoryczną tamę zlikwidowano. Woda wróciła na swoje miejsce. Równocześnie montowano zawory i obrotowy most na śluzach, a z przeciwległego brzegu wydłużała się tama z górskich głazów i betonowych bloków sięgająca 30 metrów wysokości — w głąb morza. Na każdy metr bieżący poszło trzy tysiące metrów sześciennych wszelkiego budulca. Zimą, ostatniego roku budowy, ludzie walczyli z mrozem, a sześć potężnych buldożerów — z krami lodowymi. Dzisiaj przejeżdżamy ośmiokilometrową zaporę w dziesięć minut, a przed odjazdem do Nampho żegnają nas w Rion Nam przypominające łuk tryumfalny dwie bliźniacze grupy rzeźb. Pod wspinającymi się wysoko, wykutymi w kamieniu falami morza budowniczowie zapory: żołnierze, studenci, robotnicy.

Na budowę przeznaczono mnóstwo pieniędzy i materiałów. Przelicznik 4 miliardów dolarów, 15 milionów metrów sześciennych ziemi, 2 — betonu, 16 — kamieni i głazów — zawsze wyjdzie na plus: znakomite warunki dla żeglugi statków o największej wyporności, skrócenie ośmiogodzinnej, okrężnej trasy pociągów do kilkunastu minut, możliwość rozszerzenia terenów pod bazy wypoczynkowo-rekreacyjne oraz użyczenie stu tysięcy hektarów polderów. Na trasie do Nampho połyskują kwadratowe, wilgotne poletka. Pomędzy nimi na groblach — białe stożki. Z morskiej wody wydobywa się sól. Wydiera się ziemię. Ziemia to ryż.



Jedyny zakład przemysłowy, który dane mi było zobaczyć w Phenianie, to fabryka maszyn tekstylnych, gdzie nie ze względu na szeroki asortyment produkcji zaprasza się gości. Obiekty i stojące w nich maszyny nabrały charakteru „historycznych pomników rewolucji”; fabryką tą w kwietniu i maju 1962 roku kierował 21-letni Kim Dzong Il, świeżo upieczony absolwent ekonomii na Uniwersytecie im. Kim Ir Sena. W dwudziestą drugą rocznicę dwumiesięcznego sprawowania funkcji na terenie zakładu postawiono tablicę z kolumnami rzeźbionych liter. — Żeby wiekopomne zasługi i mądre kierownictwo drogiego przywódcy przekazywać z pokolenia na pokolenie — wyjaśniła lektorka fabryki, Kim Gi Ok.

W dziale narzędziowni, jedynym, który obejrzałam, przy kilku urządzeniach stali robotnicy. Obrabiarka nr 26 jest ustawiona na wysokim marmurowanym postumencie odgradzonym dekoracyjnymi łańcuchami. Na jej przykładzie Kim Dzong Il pokazywał jak należy posługiwać się urządzeniem. Od niej wywodzi się ruch nowoczesności i postępu — wyjaśniono mi — więc z tej właśnie obrabiarki wszyscy biorą wzór w tej fabryce i w innych, podnosząc kwalifikacje i jakość swojej pracy. Wśród historycznych pamiątek jest także tokarka i stół roboczy na marmurowej podstawie, pokój zebrań z niziutkim stołem, detale wytoczone przez Kim Dzong Ila, jego szklanka i naczynie do wody, aparat fotograficzny, komplet narzędzi do malowania haseł propagandowych, akordeon, na którym grał rewolucyjne pieśni. Na zewnątrz — kamienna ławeczka do odpoczynku i rozmów z robotnikami oraz wysypane białym żwirem miejsce wspólnych zdjęć, plac do koszykówki, kwitnący klomb i nieczynny już kran pomysłu dyrektora. Okazję obejrzenia tylu przedmiotów kultu miałam jedyny raz w życiu...

\*\*\*

Wyjątkowo zimny, dżdżysty dzień. Październik zbliża się do listopada, nic więc dziwnego, że drzewa na stokach z każdym kilometrem coraz wyższych wzgórz zaczynają tracić barwy, a w Andzu, mieście górników, deszcz rozwiewa nadzieje na poobiedni spacer. Wyruszamy samochodem coraz dalej na północ.

Z szosy, gdzie rozpanoszyła się wilgotna mgła, zbaczamy na lewo, w zupełnie nieatrakcyjną o tej porze, osłoniętą drzewami drogę. Za zakrętem — wesołe głosy, grupa roześmianych ludzi podążających w tym samym kierunku. I nagle — rozstępujące się, pokryte gęstwiną sosen i modrzewi zbocza wzgórz, a pod nami

— drżący z zimna naskórek jeziora Jonphun. W pobliżu milknie rozbawiona wycieczka Koreańczyków.

Trzeba tej chwili ciszy na zachwyty nad urodą przygaszonej, a przecież w różnych tonacjach szarości odbijającej brzegi i niebo wody. Patrząc więc, moknąc w strugach ulewy, aż Won Sen osłania mnie własnym płaszczem i po raz nie wiem który zadziwiają mnie tutejsi ludzie, którzy bogactwo przyrody potrafili wprzęgnąć w swoją służbę. Nie jest to bowiem wyłącznie obiekt do podziwiania przez lirycznych wrażliwców. Jezioro Jonphun to serce jednego z czterech największych w Korei systemów nawadniających — Phennamskiego. Niegdyś równina Eltusamczholli był splekana z pragnienia, mimo że z dwóch stron omywały ją rzeki Tedong i Czhonczhon. Tu właśnie zostało wyznaczone miejsce na zbiornik irygacyjny. Dzisiaj przypominające parę jelenich rogów jezioro o obwodzie 10 kilometrów nawadnia pola ryżowe i grunty uprawne o łącznej powierzchni miliona hektarów. Nad brzegami stoją w gęstwinie domy wypoczynkowe, których pensjonariusze mogą obserwować z okien stada dzikich kaczek, ryby wyskakujące nad powierzchnię i niegroźne dla wspaniale wybujałej roślinności parostatki. Jonphun oznacza: „coroczny bogaty urodzaj”.

Kilka dni wcześniej pojechaliśmy do Rihien-ri (*ri* to odpowiednik administracyjny gromady), żeby obejrzeć stację pomp, jedną z 23 tysięcy w krajowym systemie nawadniającym. Tutejszy brygadzysta w asyście dwóch współpracowników, zaczął prezentację swojego gospodarstwa, podobnie jak wszyscy inni, od pokazania na planszy genezy tej inwestycji. Obejrzałam osiem potężnych pomp, każda o mocy 415 koni mechanicznych. Z pawilonu obserwacyjnego spoglądaliśmy na daleką równinę przeciętą rzeką Nam. U stóp gór nad brzegiem nurtu stoi dom. W tym miejscu zaczyna się kanał. Stąd pompy tłoczą wodę 18 metrów w górę, potem na drugi stopień — o dalsze 13 metrów. „Pultungdzong” — „ziemia, której nie można uprawiać” — tak nazywano niegdyś ten obszar, oznaczony dzisiaj szachownicą ryżowych poletek z groblami, na których wysiewa się soję i rozrzuconymi płachtami pól kapuścianych. Brygadzysta z Rihien-ri mówi, że dzięki stacji pomp plony wzrosły dziesięciokrotnie, a warzyw jest trzydzieści dwa razy więcej. — I dlatego — podkreśla z dumą — nasi chłopcy pracują i żyją szczęśliwie. Nie zazdrościmy tym, co są w mieście.

Podobne zdanie mieli moi rozmówcy ze spółdzielni produkcyjnej w Cangsuwonie. O jej problemach i sukcesach rozmawialiśmy długo w budynku

administracyjnym, gdzie przyjęła mnie przewodnicząca spółdzielni Dzen Mion E, energiczna i z wyraźnym szacunkiem traktowana przez uczestniczących w naszym spotkaniu — starszego inżyniera oraz przewodniczącego Związku Młodzieży Pracującej, Han Ir Ho. Sympatycznym przerywnikiem w lawinie pytań i odpowiedzi był poczęstunek gospodarzy, na który złożyły się pieczone w skórkach słodkie kartofle — pataty, jabłka i góra ziemnych orzeszków.

Spółdzielnia nosi imię Przyjaźni Koreańsko-Polskiej. Z tej racji kilka razy do roku bywają tu pracownicy polskiej ambasady. Pani Maria Kalisz, która ma za sobą studia w Phenianie i kolejne trzy pobyty w Korei (trwający obecnie, roczny, zamyka dziesięciolecie jej życia w tym kraju) opowiadała mi o kontaktach ze spółdzielnią.

— Byliśmy tam przy zbiorze jabłek, patatów i sadzeniu ryżu. Potem był obiad i wspólny program artystyczny. Ich — piękny, nasz — niestety, słaby. Sytuację ratował ambasador Mieczysław Dedo, który ma dobry głos i ładnie śpiewa.

W spółdzielni 1100 osób z 550 rodzin chłopskich pracuje w osiemnastu brygadach na 1200 ha ziemi. Do tego statystycznego zdania należałoby dorzucić 80 traktorów i 100 innych maszyn rolniczych. To dzięki Kim Ir Senowi — akcentują programowo moi rozmówcy — zaraz po wojnie, w listopadzie 1954 roku powstały trzy spółdzielnie, które w jedenaście lat później zostały zjednoczone. Przeprowadzono tu irygację, elektryfikację, mechanizację i chemizację, czyli pełny zakres planowego rozwoju koreańskiego rolnictwa, a dzisiaj spółdzielcy starają się jak najlepiej realizować zadania wytyczone na VI Zjeździe Koreańskiej Partii Pracy. — U nas obowiązuje prawo: kto nie pracuje, ten nie je.

O systemie koreańskiej opieki socjalnej już słyszałam, ale pytam o szczegóły. Pracownica, która urodzi dziecko, otrzymuje 150 dni urlopu macierzyńskiego. Po 5 miesiącach oddaje dziecko do żłobka (w spółdzielni jest 26 żłobków i przedszkoli) i podejmuje pracę. Każdemu członkowi kolektywu przysługują dwa tygodnie urlopu w roku. Po ukończeniu sześćdziesięciu lat przez mężczyzn i pięćdziesięciu sześciu przez kobiety przyznawana jest emerytura. Jeżeli komuś przytrafi się nieszczęście, może oczywiście otrzymać rentę. Emeryci i renciści korzystają gratis z wczasów i sanatoriów. Państwo zajmuje się każdą osobą, która została osamotniona po śmierci żywiciela. Za darmo — podobnie jak w całym kraju — jest opieka lekarska i leki, żłobki, przedszkola i szkoły oraz wiejskie mieszkania w niewielkich blokach lub w osiedlach domków

jednorodzinnych. Istnieją obiekty kulturalne, szkoły wieczorowe i zaoczne oraz technika rolnicze. Młodzież ze wsi nie ucieka, bo po co.

Hań Ir Ho krótko wyjaśnia rolę organizacji młodzieżowej w spółdzielni. — Prawie połowa naszych pracowników to ludzie młodzi. Oni przecież stoją na pierwszej linii rewolucji technicznej i ideologicznej, pracują na najtrudniejszych odcinkach. Do organizacji młodzież może wstępować już w wieku 14 lat. Są to decyzje dobrowolne, ale wszyscy chcą działać w naszym związku.

— Jak udaje się to osiągnąć? — pytam.

— W każdej organizacji szkolnej uzbrajamy członków w rewolucyjne teorie Kim Ir Sena, żeby z pokolenia na pokolenie pracowali na wsi.

Wiem, że nie bez pokrycia jest to, co mówił Hań Ir Ho, bowiem przykłady monolitycznego wręcz zjednoczenia narodu z przywódcą miałam okazję zaobserwować niemal na każdym kroku. Wiedza o rewolucyjnej działalności Kim Ir Sena trafia w Korei także do najmłodszych: w pheniańskim przedszkolu oraz tutaj, w spółdzielczym, widziałam cztero-pięciolatki otaczające wykonaną starannie makietę Mangende — kolebki koreańskiej rewolucji.

Z pracowitości wyrastają sukcesy spółdzielców w Cangsuwonie, w Chhonsan-ri — spółdzielni wzorcowej, leżącej na trasie z Phenianu do Nampho i w każdej innej, jak chociażby w Sok Kha koło Sinyidzu w pobliżu granicy chińskiej, daleko na północ od stolicy. Prowincja? Tak, ale jest to bez znaczenia. Przewodniczący Kim Mion Guk radzi sobie znakomicie z 673 członkami, którzy gospodarują na 417 ha ziemi oraz 56 ha sadów. Spółdzielcy uprawiają też własne działki przyzagrodowe, każda o powierzchni 30 pion (1 pion to 1,8 m; po przeliczeniu daje to około 1 ara ziemi).

O przeszłości i dniu dzisiejszym tej spółdzielni opowiada mi w środku nocy podczas jednej z wielogodzinnych rozmów inżynier Henryk Rybak. W Sok Kha w latach wojny 1950—1953 Amerykanie zniszczyli połowę domów, a samoloty polowały nawet na pojedyncze osoby. Spółdzielnia powstała wkrótce po ogłoszeniu rozejmu, w 1954 roku, po czym w dziesięć lat później została rozbudowana jako podmiejska dzielnica willowa. Mieszkania są tu wygodne, przeważnie trzypokojowe, wszędzie kanalizacja, wodociągi, ogrzewanie pod podłogą. Wzniesiono dom kultury z kinem, ośrodek historyczno-rewolucyjny, budynek administracyjny, sklep, ośrodek zdrowia, który zatrudnia pięciu lekarzy. Wydajność ryżu osiąga tu 7,1 tony z ha, kukurydzy — 7,6 ton. Drobna sprawa,

która też służy zwiększeniu plonów: chochoły na polach ryżowych. Kiedy szkodniki złożą tam miliony jajeczek, słomiane pułapki po prostu pali się. Albo widoczne w wielu miejscach kamienne zbiorniki na postumentach. W spokojne noce wlewa się do nich wodę, a pośrodku ustawia lampę na ropę. Chmary szkodników zwabione światłem topią się, zostawiając plony ludziom.

Koreańskie tempo budowlane jest już symbolem przyspieszenia w Kraju Porannej Świeżości. Reforma rolna została przeprowadzona i zakończona w ciągu 20 dni 1946 roku. W ręce ludu przeszło wówczas 981,390 czonbo (1 czonbo to 0,99 ha) ziemi. Poziom gospodarowania w spółdzielniach rolnych i sadowniczych oraz poziom życia chłopów (przynajmniej tam, gdzie byłem) świadczy o żelaznej konsekwencji przetwarzania w życie „tez o socjalistycznych kwestiach agrarnych”. Samowystarczalność żywnościowa Korei jest faktem, a zgodne z ideami dżucze metody gospodarowania mają zagwarantować realizację dalekosiężnych planów, produkcji ziarna, pod koniec lat osiemdziesiątych opiewających na 15 milionów ton rocznie.

Nadzieją rolnictwa jest także sprawdzona i upowszechniana w całym kraju metoda Czhonsan-ri. Spółdzielnia ta, skupiająca około 4 tysięcy mieszkańców, leży w powiecie Kanso, 36 kilometrów na zachód od Phenianu. W lutym 1960 roku tu właśnie Kim Ir Sen osobiście przedstawił nowoczesną ideę rozwoju wsi, optymalną dla koreańskiego budownictwa socjalistycznego. Generalne założenia sprowadzają się do tego, że podwładny zawsze może liczyć na pomoc zwierzchnika, który jest doskonale zorientowany we wszystkich problemach. Przy czym duże znaczenie mają inicjatywy społeczne.

Wdrożenie metody w Czhonsan-ri przyniosło rezultaty na tyle korzystne, że po ogólnokrajowej naradzie, która odbyła się właśnie tutaj, zaczęto z niej korzystać w różnych prowincjach. Tak więc dzięki właściwej organizacji pracy niegdysiejsza zabiedzona, głodująca wieś przekształciła się w sprawnie funkcjonujący organizm spółdzielczy, a z sześciuset czonbo urodzajnych pól ryżowych, którym nigdy nie brakuje wody, zbiera się rocznie 6 tysięcy ton ryżu. Drugie tyle ziemi jest wykorzystywane pod inne uprawy, równie wysoko plonujące.

Spółdzielnia dorobiła się wystarczającego parku maszynowego: 100 ciągników i 13 ciężarówek, 60 kombajnów i 70 agregatów do sadzenia ryżu. Siedemset tutejszych rodzin mieszka w przytulnych, niewielkich domach, które otrzymuje się za darmo, a w zależności od potrzeb każdy może korzystać z zaplecza

kulturalno-oświatowego. Dokąd będzie wyjeżdżał młody człowiek, jeżeli pod ręką ma po szkole średniej technikum mechaniczne oraz Instytut Rolny? Swoją wieś opuszczają nieliczni. Tu, czy gdzie indziej, nie istnieje problem braku rąk do pracy. Plusem dobrej spółdzielni, a takich w Korei Północnej niemało, jest znacznie wyższy niż w mieście zarobek, ułatwiający wyposażenie mieszkań we wszystko, co stanowi o nowoczesności rozumianej po koreańsku.

Ileż jednak trzeba z siebie dać, aby jesienią zaowocował wiosenny trud. Jeszcze w zimowym chłódzie marca na przydomowych rozsadnikach wysiewa się ryż. Wrażliwe ziarno kiełkuje w mikroklimacie wytworzonym przez wysoki na 1,2 metra płótek z ryżowej maty i pod przykryciem z folii oraz maty słomianej. Z każdym dniem matę zdejmuje się na coraz dłużej, a folię podnosi coraz wyżej. Zanim miną przymrozki, sadzonki osiągną wysokość około 20 centymetrów. W tym czasie zaczyna się już zielenić na polach młoda kapusta, a kiedy po około dwóch miesiącach przychodzi pora sadzenia, kanaliki na poletkach są oczyszczone i równocześnie wszystkimi dopływa iskrząca się w słońcu woda.

W ostatnich dniach kwietnia na północnych stokach gór rozkwitają nagle obłoki azalii, jeszcze bez liści. Wiosna. Na lustrzanych ryżowiskach ciągniki bronują podłoże. Tuż za nimi wchodzą mechaniczne agregaty do sadzenia ryżu i przez blisko dwa tygodnie na poletkach będzie najrojniej. Wszyscy bowiem, którzy potrafią utrzymać w rękach narzędzia, pomagają. Siedzące na maszynie trzy osoby nadzorują jej prace, która polega na wybieraniu z pęczków sadzonek po jednym źdźbło i umieszczaniu ich w błocie równo co 12 cm w rzędach odległych od siebie o 15 — 20 cm. Jeżeli agregat zawiedzie, to idące za nim kobiety sadzą ręcznie brakujące źdźbło w każde przeoczone miejsce.

Po całej serii zabiegów pielęgnacyjnych — nawożeniu, pieleniu, opryskach gęstnieje zieleń nad lustrem wody. Stopniowo ryż dojrzewa, aż przychodzi pora pierwszych zbiorów. Ciągniki z przyczepami pełnymi snopów obracają bezustannie, nie próżnują też wspomagające maszyny rude woły, które ciągną pokornie swoje dwukołowe *dalgudi* niemal niewidoczne spod ryżowej sterty. Wymłócone ziarno przechowywane jest w workach z ryżowej słomy lub też w okrągłych silosach uplecionych z mat. Pewnego dnia trafi do miejskich punktów dystrybucji, żeby każdy zakupił zgodną z przydziałem ilość. Dzienna racja wynosi średnio 700 gramów. Dla dzieci mniej, dla ciężko pracujących więcej. Ryżu starcza dla wszystkich.

Z pierwszym podmuchem wiosny na zbocza wzgórz wspinają się spychacze, żeby wszędzie tam, gdzie jeszcze jest to możliwe, wyrzeźbić tarasowe poletka pod kukurydzą. Uzbrojone ryżowymi matami tarasy mocno trzymają się pochyłości, która za stroma jest na pastwisko i pozostałaby jedynie malowniczym nieużytkiem. Kukurydza uprawiana jest też na równym terenie. Ziarno kiełkuje pojedynczo w foremkach z kompostu w inspektach, okrywanych podobnie jak ryż. Po osiągnięciu 15 cm sadzonki wraz z podłożem umieszcza się na polach, ku zaskoczeniu gawronów już zbyt duże, by można je było wydziobać.

Jesienią na spółdzielczych klepiskach piętrzą się sterty żółtych kolb. Wieszają się też tysiące tych kolb w przedziwny sposób na wysokich, opatrzonych chorągiewkami kilkumetrowych słupach. Ż daleka przypomina to ogromne kolby, a Polakowi kojarzy się z wysokimi sękaczami z Suwalszczyzny.

W okolicach Andżu i Tokczonu, na północ od Phenianu, kluczyliśmy samochodem między innymi pojazdami a szerokim, żółtym dywanem kukurydzianego ziarna, rozsypanego wprost na asfalcie. Robotnicy ze spółdzielni suszyli je podmiatając i przerzucając łopatami.

W Korei plonuje każdy kawałek ziemi nadający się pod uprawy. Grobelki dzielące pola ryżowe i wąskie pasma ziemi pomiędzy nimi a szosą obsadzone są soją. Wzdłuż drewnianych rusztowań nad wodnymi kanalikami pną się pędy dyni. Owoce odmiany o białych kwiatach używane są po przecięciu i wydrążeniu jako naczynia na wodę. Pośród pól kapuścianych wyrasta pszenica, *kaoliang*, *czumiza* czyli proso, gorczyca, tytoń, chmiel, bób, fasola, cebula, czosnek. W wielu rejonach uprawiane są słodkie ziemniaki czyli pataty i zwykłe kartofle. W wielohektarowych szklarniach pod Phenianem osiąga się coraz wyższe plony pomidorów i ogórków. Na zmęczonych twarzach ludzi jadących wraz ze zbiorami ciężarówką widziałam autentyczną radość. W porze zbiorów każdy rodzaj transportu jest dobry, byle szybciej skończyć pracę. Widywałam kobiety, które niosły na głowach rozłożyste głowy kapusty o wydłużonych, fryzowanych liściach — może tylko na domowe *kimczhi*? Niektóre pochylały się pod ciężarem ryżowych snopów umieszczonych na plecach. Nawyk noszenia ciężarów w taki sposób jest tu zresztą odwieczny, podobnie jak na całym Dalekim Wschodzie.

Pewnego wieczoru obserwowałam zachód słońca nad Morzem Żółtym. Stałam pod skrzydlatym dachem pawilonu, jednego z wielu w spółdzielni sadowniczej

Kwa II, której osiem tysięcy hektarów wsuwa się jak dłoń wydłużonym cyplem w głąb morza. Kiedyś rosły tu sosny. Dzisiaj ku brzegowi morza spadają długie szeregi jabłoni *tyrisasjanson*, *honok*, *gukgan*, brzoskwiń, wiśni, hebanowców z pięknymi, złocistymi owocami hurmy, zwanymi tu *kam*.

Tutejsze hurmy ustępują urodą i wartością smakową owocom rosnącym nad Morzem Japońskim. Najpiękniejsza odmiana *kodzon* hodowana jest w powiatach Anben, Thonczhon, Koson i Czhone wzdłuż trasy prowadzącej od Wonsanu do Gór Diamentowych. Dekoracyjnymi drzewami hurmy o wydłużonych, ciemnozielonych liściach obsadzone zostały pobocza dróg, ulice, podwórka, a nawet podnóża gór. Połyskliwe, pomarańczowe owoce dochodzące do 200 gramów zbiera się w końcu października. Po zerwaniu z drzewa do złudzenia przypominają żółte pomidory. Niezwykle słodki, kleisty miąższ zachowuje jednak oryginalny, cierpki posmak, co jest zasługą dużej zawartości taniny. Garbnik ten powoduje, że poza suszeniem, sporządzaniem nalewki i octu oraz dodawaniem do potraw hurma stanowi m.in. surowiec do produkcji środka impregnującego płaszcze przeciwdeszczowe. Przed samym wyjazdem z Korei otrzymałam kilka owoców hurmy zerwanych w sadach Kwa II. Przedtem w naturze, potem na kolorowej fotografii kojarzyły mi się z nadzwyczajnym zachodem słońca nad morzem i równie nadzwyczajnym spotkaniem w sadowniczej spółdzielni.

Spotkanie to rozpoczęło się od udokumentowania fotografiami wszystkich zasług Kim Ir Sena oraz Kim Dzong Ila dla rozwoju spółdzielni. Tak więc dzięki prezydentowi tu właśnie, a nie gdzie indziej rozkwitły w powiecie Punczhon wielkie sady; on najtrafniej wskazywał metody hodowli drzew i ich pielęgnacji oraz sposoby transportu autostradą, trakcją elektryczną i drogą morską, on też znalazł w Sunczhonie miejsce pod fabrykę przetwórstwa owoców, gdzie następnie nadzorował produkcję. Na zdjęciach Kim Ir Sen jest wśród robotników i dzieci, u rodziny spółdzielcy, w sklepie, na deszczu pod parasolem, w szpitalu, w przedszkolu. Upowszechniał w sadownictwie system brygadowy: 40 hektarów plus traktor. — Teraz nasi robotnicy — podsumowała zwiedzanie historycznego ośrodka lektorka — walczą o realizację wszystkich wytycznych i przeobrażenie rzeczywistości w komunistyczny raj.

Raj, który nieodzownie kojarzy się z pięknymi drzewami owocowymi, zwłaszcza jabłonią, roztoczył się przed moimi oczami jako rozległa wielobarwna panorama w zaciemnionej sali. Tylko na chwilę słońce zabłysło na malowanym



niebie, a w nim pojawiła się twarz wielkiego wodza. Tak zresztą tłumaczy się nadane mu przez naród imię Ir Sen: „księżycowe słońce” czy „słoneczny księżyc”.

Morze drzew. Posadzone w rzędy i szeregi sięgają horyzontu. Jest już po zbiorach, więc monotennie i zielono-szaro. Podejrzewam, że gdyby nie ofiarne pilotowanie mercedesa przez zastępcę przewodniczącego spółdzielni, wesołego Mun Men Su, zniosłoby nas bez wątpienia z wytyczonego kursu. Dojechaliśmy jednak do pawilonu na działce zwanej Jom Dzon. Zachodzące słońce zapadało właśnie za wyspę, z której niegdyś Amerykanie ostrzeliwali brzeg. Oczekująca nas dziewczyna zaczęła obierać jedno po drugim twarde, zimne jabłka. Namówiono mnie na zejście z pawilonu wprost do rozłożystej jabłoni, chyba specjalnie dla gości szczepionej tak, że obsypana była dwoma gatunkami owoców. Na skórce widać było ślady gorliwej troski o ich jakość w postaci gęstej mgły po opryskach. Przyniosłam więc zerwane osobiście jabłka i odłożyłam je na potem. Słońce zapadło za wyspę i ostry chłód wygonił nas z poszarzałych sadów do hotelu w Kwa Il. W restauracji wielometrowe panneau we wszystkich jaskrawych kolorach tęczy i wiosny odkrywało bezmiar nadmorskich sadów. Raj.

Kwa Il — znaczy „owoce”. Góry Son Hwa, połyskliwe jak Kymgang-san, to nic innego jak „kwiaty”. Kiedy jechaliśmy zwiedzać sady, drogi górskie „witały nas” gwałtownymi uderzeniami kamieni o podwozie, a ze zboczy gór staczały się kanciaste głazy. Działka Jom Dzon oznacza „słone pole”. Przed laty mieszkańcy wybrzeża przymierali głodem. Obecnie wydarte morzu poldery żywią ich i zmieniają linię brzegową kraju. A w przyszłym roku sady Jom Dzon oddzielą od burzliwych fal plaże.

## **Życie rodzinne**

— Pak Won Sen — powiedziałaam któregoś dnia — wiem już jak ludzie pracują w fabrykach i na polach, jak robią zakupy i czekają w długich zdyscyplinowanych kolejkach na autobusy i trolejbusy. Teraz chcę zobaczyć zwykłe koreańskie mieszkanie.

W ambasadzie polskiej oraz wśród moich zagranicznych przyjaciół w hotelu „Pyongyang” wyłowiłam w rozmowach ton niepewności: nie ma tu zwyczaju zapraszać cudzoziemców. Czekam więc pełna niepokoju na odpowiedź.

— Czyje mieszkanie chcesz odwiedzić? — pyta mój przewodnik.

— Na przykład twoje.

— Zgoda — mówi Pak. — Zapraszam w przyszłą niedzielę. Tak będzie najlepiej, bo od poniedziałku do soboty wszyscy są poza domem z wyjątkiem mojej mamy. Ale — zastrzega się — żyjemy bardzo skromnie i nie mamy czym przyjąć gości.

Skoro tak, to może nie dojdź do tej wizyty — myślę, oczekując z niecierpliwością na wyznaczony dzień. Do tematu więcej nie wracamy.

Ostatnia niedziela października, jak wszystkie poprzednie, jest piękna. Słońce prześwietla wachlarzowate liście *unheng* — miłorzębów zdobiących ulicę Synri. Hań Jon Su, nasz szofer, wypolerował mercedesa i podjeżdża pod automatycznie rozsuwające się hotelowe drzwi z przyciemnionego szkła. Przed każdym budynkiem publicznym w stolicy czy w terenie znajduje się podjazd dla samochodów z obszernym nad nim dachem. Pasażerowie wysiadają przed samym wejściem bez obawy, że dosięgnie ich często goszczący w tym kraju, zwłaszcza latem, ulewny monsunowy deszcz. Doceniłam tę wygodę kilkakrotnie.

Ażurowe, hakowate przęsła mostu Tedong, łączącego brzegi rzeki-imienniczki przenoszą nas do wschodniej części miasta i dalej — na autostradę prowadzącą w poprzek kraju, do portowego miasta Wonsan. Tędy, a także szlakiem kolejowym, jeździ się do jednego z najpiękniejszych w Korei miejsc: od Wonsanu wzdłuż wybrzeża Morza Japońskiego zwanego tu Morzem Wschodnim do Kymgang-sanu — Gór Diamentowych. Góry słyną z urody dwunastu tysięcy szczytów, ze skalistych, opalizujących stromych zboczy, wyżłobionych przez opiewane w pieśniach i legendach (tu warto byłoby zajrzeć znów do książki Moniki Warneńskiej) wodospady oraz z pamiętających niegdysiejszą świetność buddyjskich świątyń. Podczas ostatniej pory deszczowej przeszedł wzdłuż wybrzeża tajfun niszcząc wszystko po drodze, także most nad skalnymi rozpadlinami w Kymgang-san.

Nasza eskapada, planowo krótka, kończy się na dwudziestym drugim kilometrze od centrum Phenianu, we wsi Mudzin. Tutaj wśród starodrzewu, od półtora tysiąca lat włada krainą cieni król Tongmiong — założyciel dynastii Kogurio. Fotografujemy się na tle grobowca i drewnianej świątyni. Odprowadza nas z tego miejsca łagodnie opadająca droga, wyłożona wilgotnymi, kamiennymi płytami. I właśnie wtedy Pak Won Sen mówi:

— Teraz jedziemy do mnie.

— To wspaniale — ucieszyłam się —Ale najpierw zatrzymamy się przed hotelem.

Nie będę przecież składała długo oczekiwanej wizyty z pustymi rękami.

Z emocji już mniej uważnie obserwuję drogę powrotną: pejzaż ryżowych pól ze sнопami odbijającymi się w lustrze wody, gromadki ludzi przy ciągnikach z przyczepami przysiadającymi pod ciężarem ryżowej sterty, szarzielone obozowisko namiotów i dwuszereg czarnowłosych żołnierzy, którzy właśnie wyruszają do budowy pobliskiego mostu. Wojsko koreańskie jest niezawodne: żołnierzy widać na każdej budowie i im właśnie naród może zawdzięczać w dużym stopniu niewiarygodne tempo wznoszenia gigantycznych budowli i inwestycji przemysłowych. Budują dla pokoju —podkreśla się tu na każdym kroku.

Nie przypuszczałam, że rodzina Pak Won Sena mieszka tak blisko mojego hotelu. Pieszko to zaledwie dwadzieścia minut spaceru — od Teatru Wielkiego ulicą Podynamu do dworca kolejowego (wędrowałam tą trasą z powrotem o drugiej nad ranem po siedmiogodzinnej podróży pociągiem z Panmundzomu i Kesongu), Potem ulicą Czhangwan wjeżdżamy (bo pojechaliśmy jednak samochodem) w czyste podwórze od ulicy Hebansan. Wokół wysokościowce, ale nawet tutaj zaglądną „latające” spodki kawiarni z czterdziestego piątego piętra hotelu „Korio”.

Windą obsługiwaną przez wesołą, rozmowną dziewczynę wjeżdżamy na najwyższe, dwudzieste piętro wieżowca. W progu mieszkania wita nas cała rodzina: dzień dobry — *annjong hasimnikka*. Tłoczmy się w przedpokoju, zdejmujemy obuwie, ktoś odbiera ode mnie torebkę i kładzie na szafce, ja podaję torbę z upominkami, czarnowłosa szkrab wlepia we mnie oczy, gospodarz uchyla drzwi pomieszczeń, żebym zobaczyła ich wyposażenie,

wchodzimy wreszcie na bosaka do największego pokoju i siadamy wprost na podłodze. Chwila oddechu.

Mieszkanie jest duże, trzypokojowe. W jednym, należącym do Pak Won Sena i jego żony, Li Jon Ok piętrzy się szeroki, przykryty barwną narzutą i poduszkami tapczan, nad nim — portret Kim Ir Sena. Są tu szafy, szafki, biurko z lampką w rogu pod oknem. Drugi pokój zajmuje babcia, Kim Dzon Ok. Nad jej kolorowym łóżkiem czuwa Kim Dsong Il. Kobiety w Korei pozostają przy swoim panieńskim nazwisku, stąd każda ma własne. Dzieci otrzymują nazwisko ojca. Dziecko to *dzasig*, ojciec — *abodi*, matka — *omoni*.

Duży pokój jest niemal pusty. W ściennej wnęce całkowicie mieści się zestaw segmentów z bibelotami na półkach. Pod oknem z jedyną ogromną szybą nie przysłoniętą żadną firanką czy zasłoną (używa się ich w Korei bardzo rzadko) stoi stolik z iglastym drzewkiem w doniczce. W rogu na niewysokiej szafce ustawiono kolorowy telewizor. Ktoś włącza program i teraz przed południem oglądam zapamiętaną już z kilku wieczornych projekcji półtoragodzinną relację z wizyty w Korei Wojciecha Jaruzelskiego i jego córki, Moniki. Takie same tłumy mieszkańców Phenianu tańczących i wiwatujących na cześć polskiego gościa miałam okazję oglądać na żywo podczas prób, a potem w pełnej gali przy powitaniu Ericha Honeckera. Teraz na ekranie tancerze o skośnych oczach prezentują ognistego krakowiaka.

Li Jon Ok przynosi stertę kolorowych poduszek, potem niziutki, okrągły stół, który wypełnia środek pokoju. Gromadzimy się wokół stołu. Naprzeciw mnie trójka dzieci z babcią. Pan Won Sen sumitował się niedawno, że nie będzie czym podjąć gości. Tymczasem, zanim zdążyłam rozłożyć swój notes, okazało się, że pośród talerzy, miseczek i pałeczek nie będzie dla niego miejsca. Jest koreański chleb *sonpheng*, sojowy twaróg *tubu*, śliskie pierożki ze słodkim nadzieniem *kiephitok*, znakomita na ostro przyprawiona sałatka z kiełków sojowych *khon namul*. Są ryżowe cukierki *andzon*, drobne ciasteczka w celofanie, jabłka. Jest piwo, oranżada, woda mineralna, herbata. Wizyta gościa zagranicznego to przecież święto.

W Korei okazji do świętowania nie jest zbyt wiele, wolnego czasu również. Koreańczycy lubią się jednak bawić, najczęściej zbiorowo i każde święto to sposobność do wspólnych, radosnych spotkań, tańców i pieśni. Ale dyskoteka w polskim stylu jest nie do pomyślenia.

Do największych świąt zalicza się (w kolejności chronologicznej): Nowy Rok (I stycznia), rocznicę urodzin Kim Dzong Ila (6 lutego), święto wiosny (6 kwietnia), rocznicę urodzin Kim Ir Sena (15 kwietnia), Dzień Zwycięstwa (15 sierpnia), rocznicę powstania KRL-D (9 września) i rocznicę utworzenia Partii Pracy Korei (10 października). Wśród uroczystości rodzinnych, które odbywają się przy zastawionym stole, są między innymi: spotkania kandydatów na małżonków z rodzicami, wesela, pierwsza rocznica urodzin dziecka, które także sadza się wśród potraw i różnych przedmiotów, wróżąc jego przyszłość z tego, co weźmie do ręki. Następne, godnie obchodzone urodziny domownika to sześćdziesięciolecie, czyli młodość.

Kuchnia koreańska szczyci się bardzo zamierzczłymi tradycjami, z których wiele przetrwało do dzisiaj. Jej inność musi oszołomić każdego Europejczyka, któremu po raz pierwszy zdarzyło się być w tym odległym, azjatyckim kraju. Przyglądam się wszelkim kulinariom z wielką uwagą.

Kierownik komórki naukowo-badawczej w muzeum etnograficznym, kandydat nauk Kim Ho Sop, od lat zgłębia tajniki narodowej kuchni, czego efektem — jak przyznał w wywiadzie prasowym — będzie obszerna publikacja. Według niego potrawy należy dzielić na cztery rodzaje: podstawowe, dodatkowe, słodczyce i napoje. Można też podzielić je na zwykłe, świąteczne i luksusowe. Do potraw podstawowych *zalicza* się kaszę, polewkę, chleb, makaron itp. Najważniejszą i najstarszą, znaną od czasów społeczeństwa pierwotnego jest kasza. Gotuje się ją z ryżu, jęczmienia, kukurydzy, *kaoliangu*, prosa, kurzego owsa. „Delikatesowe” kasze przyrządza się mieszając z ryżem fasolę, jęczmień i *kaoliang*. Dodawanie do ryżu fasoli, bobu lub ziemniaków ma pobudzać apetyt. Kaszę można mieszać z zieleniną i mięsem, przyprawami. Zawija się ją także w liście sałaty lub astrów. Niegdyś, według zasady *czobansokdzuk*, biedny koreański lud rano jadał kaszę, wieczorem — polewkę. Dzisiaj to słowo nie ma racji bytu.

Nie miałam, rzecz jasna, pojęcia jak gotuje się ryż, który codziennie podawano mi w Phenianie i który dostawałam do posiłków w Kesongu, Andzu, Kwa Il, Sinczhonie, w Górach Miohiang czy podczas pikniku za Nampho, gdzie jedliśmy wszystko drewnianymi pałeczkami *dzetgarak* wprost z papierowych zawiniątek. Uświadomił mnie nie kto inny jak sam inspektor ministerstwa budownictwa Han Hen Zu — „Henio”.

— Moja matka nauczyła mnie gotować kaszę, kiedy miałem dziesięć lat — opowiadał pan „Henio”. — Kiedyś, w czasach nędzy, jadaliśmy proso — *czumizę*. Ziarno sypało się do garnka i zalewało wodą. Musiało jej być dokładnie tyle, żeby

dłoń włożona płasko na proso była całkowicie zakryta. Ta ilość wody wystarczała idealnie, żeby kasza była dobrze ugotowana. Pamiętam, że kiedy gotowało się ryż, oczywiście na małym ogniu, to woda nie mogła całkiem zakrywać płasko położonej dłoni.

Podczas świątecznego posiłku lub dla uhonorowania szczególnie miłych gości podaje się w wielu domach tzw. kesongską kaszę ryżową *jakpap*, która pomaga także rekonwalescentom i osobom o słabej kondycji. Jej podstawę stanowi kleisty gotowany ryż, który łączy się z gotowanymi kasztanami, suszonymi owocami hurmy i miłorzębu, orzechami cedrowymi lub greckimi. Doprawia się tę oryginalną mieszaninę miodem, cukrem, cynamonem i olejem sezamowym, a podaje w okrągłej porcelanowej czarce z pokrywką.

Jest także *pibimpap* — ryż gotowany na parze, połączony następnie np. z jarzynami, wiórkami surowego mięsa i ryby. Do dawnych potraw należy *ogokpap* gotowany z pięciu rodzajów ziarna. Spożywano tę kaszę z życzeniami dobrych zbiorów tych zbóż w nadchodzącym roku.

Ryż związany jest też z tradycją kultu zmarłych, zblizoną nieco do starostowiańskich „dziadów”. W drodze do Andzu Kim Kwan Ho pokazywał mi nieregularnie rozrzucone, okrągłe kopczyki cmentarne. Wiele ich znajduje się po prostu w różnych miejscach w górach, w miastach bowiem cmentarzy nie eksponuje się. Zwykle kopczyki są opatrzone tabliczką z nazwiskiem zmarłego, ale bywają też dane opiekuna mogiły. Na groby chodzi się dwa razy do roku. 6 kwietnia, kiedy to zgodnie z tradycyjnym kalendarzem przypada początek wiosny, członkowie rodziny wybierają się na grób bliskiej osoby i porządkują go. Na znajdującym się obok kamiennym lub ziemnym „stoliku” stawiają ryż, inne potrawy i nieco wódki, przy czym posilają się sami. Drugi raz odwiedza się mogiły jesienią, po pierwszych ryżowych żniwach. Według dawnego kalendarza było to 15 sierpnia. W tym roku ten dzień wypadł 18 września. Ścina się sierpem trawę, która wyrosła przez lato, a zmarłemu zostawia kaszę ugotowaną z pierwszego ryżu. Jeżeli rodzinne groby znajdują się daleko, można tam w ogóle nie jeździć. Wystarczy przed fotografiami tych, którzy odeszli, postawić kaszę i odrobinę wódki. Pod koniec października jest jeszcze późny zbiór ryżu, jednak o tym fakcie zmarłych już nie informuje się.

Szczególnością popularnością cieszy się *kuksu*, czyli makaron i potrawy z niego przyrządzane. Na południu robi się go z mąki pszennej, na północy — z gryczanej, kukurydzianej i kartoflanej. Fabryczne „nitki” z krochmalu, gotujące

się bardzo krótko, są niemal przezroczyste. Danie to można robić na różne sposoby, za najlepsze jednak uważane jest *kuksu* pheniańskie, w którym makaron wyróżnia się sprężystością i przyjemnym aromatem. Takie właśnie podano mi na urodzinowy obiad, który miałam przyjemność zjeść w towarzystwie Li Sen Ho, wiceprzewodniczącego Ogólnokoreańskiego Komitetu Pokoju, w restauracji „Chhonniu”.

Sama budowla godna jest uwagi, przypomina bowiem swoją architekturą statek zakotwiczony u brzegu rzeki Pothong. *Chhonniu* oznacza „dom nad lazurową strugą”. Jest to lokal monumentalny jak wiele innych w Phenianie: równocześnie może obsługiwać 1000 gości w salach i 600 na zewnątrz. Każda z sal ma inną specjalność kulinarną. Na pierwszym piętrze na przykład goście siedzą przy chłodnych napojach w sąsiedztwie wspaniałej fontanny otoczonej sznurami szklanych paciorków, iskrzących się wszystkimi kolorami tęczy. Na czwartym można dostać mięso pieczone na ogniu. Ja zostałam zaproszona do niewielkiego pokoju z okrągłym stołem, gdzie serwuje się *kuksu*.

W głębokiej, porcelanowej misce umieszczona jest wysepka makaronu z zimnym wywarem mięsnym. Najlepiej z bażanta, ale może też być z wołowiny, kury itp. Na wierzchu ułożone są wiórki mięsa, plasterki jarzyn i dodatki przyprawowe. Wymieszałam to wszystko doprawiając, podobnie jak moi współbiesiadnicy, sojowym sosem i pieprzem. Jednak mimo wyczerpującej walki pałeczkami, nie zmogłam mojej porcji. Makaron można przyrządzić też z gorącym bulionem. Do dawnych tradycji należy *kuksu* przygotowywane upalnym latem z dodatkiem kawałeczków lodu, poszatkowanych gruszek i ogórków oraz jajka i mięsa bażanta.

Koreański chleb z posypką robiony jest z kasz lub mąki ubijanej podczas gotowania na parze albo w wodzie. Do posypki używane są rozdrobnione kiełki sojowe, fasola, sezam z miodem, suszona hurma, kasztany, orzechy cedrowe, grzyby i pyłek sosnowy — cóż za różnorodność! Podobne dodatki zawiera *sonphen* — chleb, a raczej pieróg z mąki ryżowej, gotowany na parze, który układa się na sosnowych igłach. Różnorodnych „chlebów” jest około 50 rodzajów, nie mają one jednak nic wspólnego z pieczywem polskim.

Wśród dań luksusowych na uwagę zasługuje niewątpliwie wytworne *sinsollo*. Jest to odmiana *than* — bardzo tu popularnych wywarów, bulionów i zup, które przygotowuje się z warzyw, mięsa, ryb, jadalnych traw itp. Może być na przykład

gęsty bulion z wołowym żołądkiem, kurą i karpem. Może być *than* z krowiej głowy, bażanta, mięsa kraba, z sojowego twarogu *tubu* z mintajem *mionte* ze żmijogłowa oraz koreańska „solanka” gotowana w *sinsollo*. Zupy jadane są, zgodnie ze zwyczajem — na śniadanie i kolację, zwykle gorące, jednak latem także zimne. Do mojego kolacyjnego ryżu i sałatek z kiełków zwykle dostawałam bulion z kawałeczkami mięsa, również z niedużych ptaszków wielkości wróbla oraz wiórkami surowej marchewki i porów.

*Sinsollo* wzięło swoją nazwę od naczynia w rodzaju samowaru na węgiel drzewny, w którym jest przyrządzane i podawane. Po zdjęciu pokrywki potrawa wygląda naprawdę wspaniale, a na jej aromat i smak składa się około trzydziestu różnych komponentów dekoracyjnie, promieniście ułożonych w naczyniu. Należą do nich m. in.: wołowe mięso, język, wątroba, żołądek i część od ogona z tłuszczowym podkładem, mięso bażanta, kury i wieprzowe, a ponadto tzw. morskie uszko, krewetki, mątwy, cebula, paproć, pędy bambusa, prawdziwki, kawałeczki niedojrzałej dyni, jaja, kasztany, owoce miłorzębu, orzechy cedrowe i korzenie dzwoneczka (biały dzwoneczek kumgański z drugim, jadalnym i leczniczym korzeniem rośnie w Górach Diamentowych, a nazywany jest krewnym *insatnu*, czyli *żeń-szenia*). *Sinsollo* należy do potraw kosztownych i podawane jest głównie gościom zagranicznym.

Dodatkiem do tych wspaniałości może być bardzo popularne w całym kraju *kimczhi*. Niezależnie od miejsca, gdzie przypadł mój posiłek, otrzymywałam je niemal do wszystkiego. Jest to po prostu kiszona kapusta (z wyglądu jak rozpowszechniana u nas „pekińska”, tylko że olbrzymich rozmiarów) krajana z rzodkiewką. Jest też kiszona cała kapusta lub zawijane w jej liście różne składniki. Może też być kiszona sama rzodkiewka w całości (bardzo to oryginalne w smaku i dekoracyjne) oraz gorczyca.

Żeby przyrządzić *kimczhi* z kapusty na zimę, należy przeciąć ją wzdłuż i po umyciu zalać połówką słoną wodą na 24 godziny. Po następnym umyciu wkłada się między liście przyprawy w postaci papryki, cebuli, czosnku, imbiru, jadalnych traw, owoców, kawałeczków wołowiny, mątwy i solonych mały. Pan Kim Ho Sop z muzeum etnograficznego uważa jednak, że dwuskorupowych mały nie należy dodawać do kiszonki, bowiem zepsułyby jej smak. Owszem, są one znakomite jako samodzielne danie.



Z powszechnie uprawianej soi, która porasta nawet grobelki pomiędzy polami ryżowymi, robi się fabrycznie doskonały sos przyprawowy i twaróg *tubu*, wyglądający jak kostka drożdży. Jako potrawę podaje się też sojowe kiełki długie na kilkanaście centymetrów. Jak się je pędzi, zobaczyłam w okolicznościach zgoła niekulinarnych. Podczas zwiedzania Muzeum Zwycięstwa w Wojnie Narodowej pokazano mi tunel wykonany na podobieństwo tych, które koreańscy żołnierze drążyli w górach jako swoje podziemne bastiony obronne przeciw Amerykanom. Były tam m.in. prowizoryczne pomieszczenia kuchenne, w jednym z nich stała drewniana skrzynka ciasno wypełniona białymi kiełkami, z których każdy zakończony był ziarenkiem soi. Żołnierze jedli ten wartościowy pokarm, który rozrastał się bardzo szybko. Kim Kwan Ho powiedział mi, że współcześnie hodowla kiełków wygląda bardzo podobnie. Soję umieszczoną w zaciemnionym pomieszczeniu „poi się” intensywnie wodą. Po kilku dniach nasiona pękają wypuszczając pędy. Sałatka z gotowanych kiełków razem z nasionami jest w każdym razie znakomita.

Kuchnia koreańska posiada także ciekawe potrawy rybne i mięsne. Ryby podawane są tu na różne sposoby, czasem z bardzo pikantnymi dodatkami, zawsze bardzo smaczne. Jest oryginalny sposób przygotowywania suszonej ryby i mięsa, który nazywa się ogólnie *pho*. Suszy się odpowiednio przyprawioną rybę, wołowinę, mięso bażanta i jelenia. O suszonej rybie mam wyobrażenie. W hotelu „Korio” oglądałam film w towarzystwie dwojga gości z Ghany i Burkina Faso (Górnej Wolty). Po seansie zaproszono nas wraz z tłumaczami do eleganckiej salki recepcyjnej, żeby podzielić się wrażeniami. Do herbaty (jak zawsze w filiżankach z pokrywkami) podano słodczyce i jabłka, do piwa — suszonego mintaja, którego długie pasma każdy kładł przed sobą na stole. Być może jest to znakomita zakąska dla mężczyzn, chociaż nie mogę nie zgodzić się z określeniem tego przysmaku przez Zbigniewa Suchara. W Wonsonie usiłował on zagryzać znakomite piwo „Tonghak” mintajem przypominającym mu smak „zmiażdżonej płyty wiórowej, którą przyprawiono tranem”. No cóż, rzecz gustu.

Ryby, których jest pod dostatkiem i drób z wielkich ferm zastępują w dużym stopniu mięso zwierząt, pojawiające się na stole tylko od wielkiego dzwonu. Hodowla zwierząt jest bardzo ograniczona ze względu na warunki geograficzne. Na działkach przyzagrodowych chłopcy hodują na własne potrzeby świnie, kury, króliki i psy, które są podobno niezłe po odpowiednim przyrządzeniu. W Phenianie psów i kotów nie widać. Istnieje po prostu zakaz ich trzymania.

Coraz lepiej rozwijająca się gospodarka morska dostarcza na koreańskie stoły wszystko, cokolwiek z głębin nadaje się do jedzenia. Położnicom w pheniańskiej klinice codziennie podaje się świeżą morską kapustę. Wiele potraw przyrządza się z takich „frutti di mare” jak małże, krewetki, ostrygi, mątwy, trepangi czyli kałamarnice i kraby. Zanim połapałam się na początku, że podano mi trepangi, myślałam, że są to duszone, oryginalnie przyprawione grzyby. Natomiast pierwszy krab zrobił na mnie niemiłe wrażenie.

Zamówił go dla mnie przed swoim odlotem do Bułgarii profesor Aleksander Atanasow. Skorupiak wypełniał ośmioma włochatymi łapami cały talerz i kiedy „spojrzeliśmy” sobie prosto w oczy (jego — wybałuszone na głowotułowiu) myślałam, że zrejteruję od stołu. Pancierz okazał się jednak pusty i ułożony w celach dekoracyjnych, a mięso wydobyte z łap bardzo smaczne.

Spośród traw jadalnych, których podaje się bardzo dużo w postaci na pół surowej, ciekawostką jest np. *minari* z pikantnymi przyprawami i sojowym sosem, roślina *lecznicza* przeciwko zapaleniu wątroby. Znakomite są *kamza tempari* — wąskie paseczki ziemniaków opiekane w cieście. Hań Hen Zu polecał *toradzi* — roślinę podobną do *insamu*, kwitnącą biało lub fioletowo, z korzeniem osiągającym metr długości. Tenże korzeń najpierw moczy się przez 24 godziny w wodzie, potem gotuje na pół miękko, następnie rozrywa na części, przyprawia solą i zjada. Smakuje podobno jak nieco cierpka rzodkiewka. Może i dobre.

Ze słodyczami i alkoholem niewiele miałam do czynienia. Kilka kieliszków wódki z *insamu* w hotelowej kawiarni dla cudzoziemców — to wszystko. Kawiarnia jest okupowana przez Arabów, przynoszących tu swoje nagrania. W sąsiednim pomieszczeniu z napisem „dyskoteka” przeważnie — jak mówili zadomowieni w hotelu goście — grywa się w szachy. Pani Maria Kalisz z ambasady uważa, że jak na kuchnię azjatycką słynącą z wielu przysmaków, desery nie są, niestety, apetyczne. Ale to już nasza, polska opinia.

Li Jon Ok obiera dla mnie jabłko, a ja biorę ją na spytki. Niech opowie — proszę — jak wygląda jej dzień.

— Wstaję o piątej rano — mówi pani Li. — Mąż też. Gotuję kaszę ryżową albo *kuksu*. Dzieci wstają o szóstej, jedzą śniadanie. Wychodzimy o siódmej trzydzieści. Gen Hi ma trzynaście lat i chodzi do trzeciej klasy żeńskiej średniej

szkoły (po ukończeniu czteroklasowej szkoły podstawowej). Mion Nam ma dziesięć lat i jest uczniem pierwszej klasy męskiej szkoły średniej, a sześciolatek Mion Ir to przedszkolak. Codziennie o godzinie piątej po południu wychowawczyni odprowadza Mion Ira do domu, tak jak i inne dzieci.

Li Jon Ok jest dyrektorką biblioteki w Instytucie Technicznym. Zarabia 90 wonów. Średnia płaca w Korei wynosi około 100 wonów. Pak Won Sen jako aspirant literatury w Komitecie Współpracy Kulturalnej z Zagranicą otrzymuje miesięcznie 120 wonów. (Z tym, co jego dzieciom daje towarzysz Kim Ir Sen, będzie razem 300 wonów). Otóż dzieci w całej Korei otrzymują 15 kwietnia każdego roku, w rocznicę urodzin Kim Ir Sena, szkolną wyprawkę, na którą składa się pełne umundurowanie, podręczniki i przybory szkolne, obuwie, nawet pionierski kapelusz i *ribong* — barwna wstążeczka do włosów. Ponadto w kraju nie ma podatków, co obywatele uważają za wielkie osiągnięcie koreańskiego socjalizmu.

Matka Pak Won Sena, którą jako dziecko obcy człowiek sprzedał bez wiedzy rodziców obszarnikowi na służbę, została tragicznie doświadczona przez los. Wojna z Amerykanami zabrała jej męża i troje dzieci. Wychowała więc jedyne dziecko syna, dzięki — jak mówi — wielkiemu wodzowi. Otrzymuje 50 wonów emerytury — była bowiem sekretarzem wiejskiego komitetu partii — i 20 wonów dodatku jako wdowa po frontowym żołnierzu. Do jej obowiązków w domu należy gotowanie obiadów dla wnuków. Syn i synowa stołują się w pracy.

Wieczorem kolację przygotowuje Li Jon Ok. Potem pierze, ceruje i łąta odzież, myje naczynia, sprawdza dzieciom odrobione lekcje, od czasu od czasu rzuca okiem na telewizję. Jak to kobieta. Nie ma pralki, lodówki, maszyny do szycia, radia. W każdym mieszkaniu jest głośnik, przekazujący wyłącznie koreański program podobnie jak telewizja. W dobrze prosperujących spółdzielniach produkcyjnych na wsi mieszkania wyposażone są lepiej.

— Na wszystko przyjdzie czas — mówi Pak. — Mamy jeszcze w Korei wiele niedostatków. Żyjemy skromnie, lecz nikt nie głoduje, każdy ma zatrudnienie i dach nad głową. Pracujemy w spokoju i pragniemy pokoju dla zjednoczonej Korei.

Pak Won Sen po kolacji zapala papierosa, wychodzi na krótki spacer po mieście. Po powrocie czyta dzieła przywódców i inne książki lub tworzy. Jest obiecującym

pisarzem. Zwykle kładzie się o jedenastej wieczorem, lecz bywa i tak, że pracuje do drugiej— trzeciej w nocy przy małej lampce, żeby nie budzić żony.

W niedzielę rodzina Paka chodzi do wesołego miasteczka, odwiedza ZOO lub ogród botaniczny, albo też bierze jedzenie i wyprawia się do lasu. Widywałam także rodzinne wycieczki: ojciec w garniturze i świątecznej białej koszuli z krawatem, matki i babcie w kostiumach lub długiej *czhimie* i *czogori* z króciutkim staniczkiem oraz z nieodłącznymi węzełkami z chust, zastępującymi tu powszechnie torby. W lesie pod Mangende mężczyźni w towarzystwie żon rozstawiali sztalugi i malowali jesienne pejzaże. W ogrodzie botanicznym nad lotosowym stawem zastałam grupę studentów, którzy siedząc w kręgu na trawie z uwagą słuchali patetycznych strof w wykonaniu kolegi — poety. Pak Won Sen w niedzielę zostaje w domu i pisze albo odwiedza przyjaciół. Czasem też razem z nimi pracuje na budowach.

Usiłowałam przeliczyć, co można kupić za 100 woriów. Ryż jest niemal za darmo. Państwo odkupuje od chłopca, płacąc, za każdy kilogram 50 dzonów, a punkty rozdziału ryżu sprzedają go w mieście po 8 dzonów. Równie niskie są ceny innych podstawowych artykułów. Kilogram ryby kosztuje 50 dzonów i — jeżeli jest — można ją kupić bez ograniczeń. Racjonowane są te artykuły, których nie wystarcza lub które należą się sprawiedliwie każdemu. Na przykład na telewizory i zegarki są talony. Sklepów spożywczych w mieście prawie nie widać, są za to w obrębie zakładów pracy, co też jest dużym udogodnieniem dla kobiet. Pięć metrów jedwabiu na *czhimę* i *czogori* kosztuje ponad 100 wonów, tyle też — średnio — haftowane jedwabiem na jedwabiu obrazy. W instytucie haftu artystycznego oglądałam pracę kobiet, które z benedyktyńską cierpliwością przez długie tygodnie przenoszą na kawałek jedwabiu wzór, wyszywając go nićmi w blisko stu kolorach i odcieniach. Pod okiem najlepszych uczą się tej niezwyklej sztuki czarnoskóre dziewczyny z Burundi. Obraz wielkości szkolnego zeszytu jedna artystka haftuje około trzech tygodni. Nad obrazem długim na trzy metry i wysokim na metr grupa kobiet pracuje przez kilka miesięcy. Jest wiele klasycznych wzorów — łowienie smoka, tygrys, wróżki, gałązki kwitnących drzew, para kaczek mandaryńskich symbolizujących wierność i dozgonną przyjaźń. Taki właśnie obraz na jedwabiu podarował mi Pe Czang Giu, sekretarz Koreańskiego Komitetu Pokoju, znajomy z międzynarodowej konferencji pokojowej w Moskwie. Zobaczyliśmy się w Phenianie w kilka miesięcy po

spotkaniu w Polsce. Ten jedwabny prezent powinien być dobrą wróżbą na przyszłość...

Z Li Jon Ok i małym Mion Irem oglądamy niewielki rodzinny album. Na kilku zdjęciach — babcia za nakrytym stołem: Kim Dzen Ok ubrana w *czogori z czhimq* świętuje właśnie sześćdziesiątą rocznicę urodzin. Strój ten jest również nieodzowny podczas ceremonii ślubnej. Panny młode wyglądają tu jalc motyle, chociaż ich suknie w niczym nie przypominają japońskiego kimona.

Pak Won Sen ożenił się w wieku 30 lat. — Narzeczona bardzo mi się spodobała — wspomina Kim Dzen Ok. Pak po studiach w stołecznym Instytucie Spraw Międzynarodowych sprowadził do Phenianu matkę, która przebywała w Wonsanie. Do ich wspólnego mieszkania przybyła jeszcze młoda żona, potem dzieci. Dopiero dwa lata temu rodzina przeprowadziła się na swoje dwudzieste piętro.

Lektorka z Muzeum Partii Pracy Korei, Rem Mion Hi, matka siedmioletniego syna i dwuletniej córki, przekazała mi najwięcej ciekawostek o obyczajach związanych z zawieraniem małżeństw. W Korei wciąż jeszcze najważniejszym momentem jest pierwsze wspólne spotkanie rodziców narzeczonych. Oceniają oni młodych przy skromnym poczęstunku w domu kandydatki na żonę. Jeżeli rezultat jest pomyślny, ustala się termin wesela. Może ono odbyć się w domu dziewczyny lub chłopca, albo też w restauracji. Narzeczom obchodzą w tym dniu miasto, robiąc sobie pamiątkowe zdjęcia w najciekawszych miejscach, tak jak to bywa w Związku Radzieckim. W Phenianie jest to np. łuk Tryumfalny, pomnik dzucze, Pałac Nauki, hotel „Korio”. Potem wracają do gości, gdzie jest zastawiony stół, wspólne tańce i śpiewy. Następnego dnia idą do urzędu podpisać akt małżeństwa. Wymieniają też między sobą upominki: pierścionki, zegarki czy kupony materiału. Obrączek tutaj nie ma; zewnętrzną oznaką kobiety zamężnej są obcięte włosy.

Can Mi Sen, naczelniczka oddziału technologii z instytutu haftu artystycznego mówi, że zgodnie z dawnym zwyczajem kandydatka na żonę naftuje ręcznie jedwabne poduszki, a narzeczony na tej podstawie wydaje o dziewczynie opinię...

Rozgadaliśmy się o wszystkim, a czas goni. Nie chce się wstawać z połyskliwej, żółtej podłogi, która podobnie jak w żłobkach i przedszkolach jest ogrzewana. Wieczorem w tym pokoju rozkłada się maty i wałki pod głowę dla dzieci idących spać. Poza sezonem Pak Won Sen płaci za mieszkanie 2—3 procent od pensji, w sezonie jesienno-zimowym aż 25 procent. System centralnego ogrzewania działa w centrum miasta. Na jego obrzeżach ludzie palą kostkami antracytu w kuchennych piecach, skąd ciepło także rozprowadzane jest pod podłogi. Taka podłoga nazywa się *ondol* — ciepły kamień.

Żegnamy się z babcią w progu mieszkania. Reszta rodziny zjeżdża z nami windą. Słońce zalewa ganek wieżowca. Robimy wspólne kolorowe zdjęcia. Do widzenia.  
*Annjonghi kesipsijo.*

## **Edukacja permanentna**

Jeden z koreańskich folderów reklamuje... przedszkole. Oszczędny tekst w języku rosyjskim i hiszpańskim stanowi tylko uzupełnienie dla pięćdziesięciu kolorowych fotografii, przedstawiających placówkę wychowawczą jak z marzeń sennych. Trudno uwierzyć, że w ogóle możliwe jest stworzenie takiej bazy dla wszechstronnego i jednocześnie kierowanego rozwoju dziecka.

W Phenianie, dwumilionowym mieście, wzniesiono ponad 600 przedszkoli. To „folderowe”, w dzielnicy Czhangwan, jest placówką tygodniową: przebywa tu 500 dzieci w wieku od czterech do sześciu lat. Rodzice pracujący po nocach lub daleko od miejsca zamieszkania mają kontakt z dzieckiem tylko w niedzielę, toteż wszystkie funkcje wychowawczo-opiekuńcze przejęło na siebie państwo.

Zwiedzałam koreańskie żłobki — w stolicy i na wsi, byłam w wiejskim przedszkolu, w sześcioklasowej szkole średniej, w obozie pionierskim w górach, w pałacu młodzieży i uniwersytecie. Rzeczywiście, jednolity system wychowawczy jest wszędzie realizowany konsekwentnie.

Wróćmy jednak do przedszkola, które ze względu na swoją architekturę w niczym go z zewnątrz nie przypomina. Najwyższy z czterech budynków, dziesięciokondygnacyjny, przylega do łukowato wygiętego

czterokondygnacyjnego pawilonu z podcieniami i wejściem głównym. Już tutaj, przed schodami, wychowawczynie z uśmiechem poleciła mi zdjąć obuwie. W plastikowych kapciach wędrowałam po przestronnych holach, salach zajęć pełnych malców w bardzo kolorowych ciuszkach, uszytych przeważnie z dzianiny. Wszędzie lśniące podgrzewane podłogi. W wysokim budynku z loggiami i windą podśluchiwałam odpowiedzi dzieciaków na zajęciach z przyrody i matematyki.

Najstarsi są objęci programem nauczania, który stanowi pierwszą klasę jedenastolatki. (Tutaj- też następuje drugi — po wstępnej edukacji w żłobku — etap wzbogacania wiedzy o życiu prezydenta przy artystycznie wykonanej makiecie Mangende. W ten sposób systematycznie pogłębiający wiadomości przyszły obywatel po osiągnięciu wieku dorosłego wie już o wielkim wodzu wszystko i jego wskazówkom programowym podporządkowuje w pełni swoje życie.) Przedszkole czhangwańskie rzeczywiście zadziwia: przytulne sypialnie, kolorowe, wykładane „wesołą” ceramiką umywalnie i łazienki, pełne światła pokoje zabaw, zaokrąglony hol, w którym stoi długi rząd wypchanych zwierząt leśnych i domowych oraz ptaków, a ponad wszystko — kryty basen z regulowaną temperaturą wody, otoczony barwnym freskiem pełnym zwierzątków z bajek i kolorową obudową z ceramicznych kafelków z kryształowym żyrandolem pod sufitem. Nie widziałam też nigdy w żadnym przedszkolu takiej wspaniałej sali do rytmiki. Na moją cześć zespół wokalnoinstrumentalny zaprezentował program z towarzyszeniem akordeonów, skrzypiec, perkusji oraz *kajagym* — narodowego instrumentu strunowego, którego tradycje sięgają jeszcze dynastii Li. W przedszkolu zgromadzono ponad 500 różnych instrumentów i każdy wychowanek uczy się grać przynajmniej na jednym.

Na miejscu jest także zespół lekarzy-pediatrów, pod których okiem kucharki-specjalistki przygotowują posiłki. Jadalnia na 500 miejsc przypomina, dzięki ogromnym, ciężkim żyrandolom i marmurowym kolumnom, kuluary teatru.

Przedszkole brygadowe spółdzielni produkcyjnej w Cangsuwonie mieści się w skromnym, piętrowym budynku. Tutaj zastałam dzieci przy nauce liter mozolnie wpisywanych ołówkami w odpowiednie miejsca pokratkowanych zeszytów. W innej sali nauczycielka podniosła się od *punkom* — instrumentu przypominającego niewielkie szafkowe pianino, które w koreańskich placówkach wychowawczych jest w powszechnym użyciu. Do tego przedszkola przechodzą

„absolwenci” żłobka funkcjonującego po sąsiedzku. Moja wizyta w żłobku wypadła akurat w porze werandowania: rząd czarnych łebków wзираł z płasko ułożonych na macie tarasu zawiniątek i koców.

W tygodniowym żłobku pheniańskim powtórzył się zaraz po wejściu rytuał wkładania kapci oraz — dodatkowo — białego fartucha. Żłobek „15 września” (bo został otwarty tego dnia w 1968 roku) także opiekuje się dziećmi przez całą dobę, żegnając je tylko na czas niedzielnego spotkania z rodzicami. Niektóre dzieci pozostają również na niedzielę, praktycznie więc nie mogą mieć więzi emocjonalnych z rodzicami. Dzięki stosowanym metodom wychowawczym, żłobek stał się placówką wzorcową.

Pobyty w żłobku, podobnie jak wszelkie inne formy opieki, wychowania i kształcenia w Korei, jest bezpłatny. Wszystkie dzieci rodziców pracujących mają zapewnione miejsca. Już pięciomiesięczne niemowlęta można oddawać do żłobków, z tym że w tygodniowych przebywają dzieci starsze — po ukończeniu dwu i pół roku.

Trzylatki, które odważnie podchodzą pod obiektyw aparatu, są zupełnie bose. Ich opiekunki — w skarpetkach. Od podłogi bije ciepło. W pomieszczeniach o powierzchni przypominającej salę gimnastyczną w polskiej szkole znajduje się mnóstwo pomysłowych urządzeń do zabaw, w tym — miniboiska do koszykówki i siatkówki. Rozgrywki, jak na kondycję trzyletnich zawodników, idą nieźle. Ruch panuje na zjeżdżalni i w kulach ziemskich, zmontowanych z żelaznych prętów. Podobnie, tylko bardziej hałaśliwie, przebiega zabawa w niewielkim basenie. W sąsiedztwie czteroletnie maluchy uczą się o ptakach na ich wypchanych krewnych. Zewsząd dobiegają dźwięki różnych instrumentów. Po obejrzeniu kilkunastu pomieszczeń młoda wychowawczyni, Kim Jon Hi, prowadzi mnie do sali baletowej ze sceną, gdzie przez kwadrans popisują się mali wirtuozi: skrzypkowie w krótkich spodenkach, wiolonczelista wdrapujący się do swojego instrumentu po taborecie, niemal niewidoczna zza cymbałów mistrzyni tychże oraz pianistka, u której najbardziej widoczna była kokarda na głowie. Jakże te dzieci znakomicie grały i z jaką zazdrością przyrównywałam te warunki rozwoju do naszych żłobków i przedszkoli, o których mówi się — przechowalnie.

W pałacu młodzieży, gdzie każda podana liczba jest imponująca (50 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, 500 sal do zajęć, w tym 200 dla kółek zainteresowań, 10 tysięcy uczniów przebywających tu równocześnie), widziałam



program artystyczny zaprezentowany obcokrajowcom. W przeszło godzinnym występie pojawiły się na oślepiająco kolorowej, migotliwej scenie setki dzieci, które właśnie tu, w ramach zajęć pozalekcyjnych, doskonali swoje umiejętności. Talent dziecka trzeba rozwijać — mówili opiekunowie poszczególnych zespołów i kółek, kiedy wędrowaliśmy od sali do sali pełnej uczniów. — W każdym tkwi coś ciekawego, a czasem zadatek na geniusza.

W kółku haftu artystycznego jest sześćioletnia Kim Ren Hwa posługująca się igłą i motkami wielobarwnych, jedwabnych nici nie gorzej niż profesjonalistki z instytutu haftu artystycznego. Przez 90 dni to małeństwo wyszywało pracę zatytułowaną „Życzenia długich lat życia”, której adresatem był wielki wódz. Tutejsi wychowawcy wraz z wykładowcami z instytutu sztuk plastycznych zajęli się także sześćioletnią O Yn Bier, utalentowaną malarką, której dziesięć akwarel zaprezentowano z powodzeniem podczas XII Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie.

Na zajęciach z kaligrafii mozolą się nad białymi arkuszami ośmioletnie bliźniaczki. Naprzeciw nich siedzi dziewczynka, której zadaniem jest wypisywanie na długich paskach papieru hasła w rodzaju „niech żyje przyjaźń koreańsko-polska”, rzecz jasna po polsku. Otrzymuje taki prezent prosząc o koreański autograf, a tuż za mną Arab zwija w rulon podobny tekst, wymalowany w jemu tylko zrozumiałe wężyki. Dzięki jednakowemu jak moje hasłu, udało mi się zidentyfikować na balkonie sali widowiskowej Polaka. Tego dnia bowiem przeważał ciemnoskóry tłum zagranicznych gości. Pałac młodzieży otwiera się dla cudzoziemców tylko dwa razy w tygodniu, inaczej prowadzenie normalnych zajęć z dziećmi i młodzieżą byłoby niemożliwe.

Ale widziałam w tym pałacu coś, co klóci się z europejskim wyobrażeniem o dziecięcej radości życia. Wzdłuż długiego stołu dziewczęta i chłopcy w wojskowych bluzach rozkładali i składali karabiny. Na ścianach tego pomieszczenia wiszą plansze z przekrojami pocisków i broni, w gablotach stoją miniatury czołgów i transporterów opancerzonych. Rozległa panorama — makieta gór z poutykanymi małeńkimi tarczami i ruchomymi celami przeznaczona jest do praktycznej nauki strzelania do przeciwnika. Uczy gotowości na wypadek zbrojnej agresji zza linii demarkacyjnej. Tutaj wszyscy pamiętają, że pomiędzy Koreą Północną i Południową, w której przebywają Amerykanie, nie ma pokoju, jest tylko rozejm.

Pewnej niedzieli odwiedziłam stały obóz pionierski w górach Rioniak, w pobliżu Mangende. Takich obozów jest w Korei sporo, a dzieci przebywają tu od kwietnia do listopada na turnusach kilkudniowych lub dwutygodniowych, co jest uwzględnione w szkolnym programie. Tu także, uczestnicząc w górskich piknikach, pływając na łódkach i zajmując się sportem, rozwijają przede wszystkim swoje talenty. Komendant tego obozu — O Tir Bon, wyglądający na rówieśnika swoich podopiecznych powiedział, nawiązując do troski władz o rozwój młodej generacji: — Mówił nam towarzysz Kim Ir Sen, że zamiast dziesięć razy czytać jego książki, lepiej raz popatrzeć na działalność...

Zajęcia popołudniowe w gęstej sieci placówek w całym kraju są uzupełnieniem programu dydaktyczno-wychowawczego, który konsekwentnie realizuje się w szkołach. Dyrektorka szkoły średniej nr I w Phenianie, gdzie 1700 uczniów zdobywa pod kierunkiem ponad 100 nauczycieli wiedzę, przez dwie godziny oprowadzała mnie po tym wielopiętrowym, wzorcowym obiekcie, z dumą prezentując jego wyposażenie. Wykłada się tutaj, podobnie jak w innych szkołach, piętnaście przedmiotów. Jest literatura, języki obce — angielski i rosyjski oraz przedmioty zawodowe, ale każdy z nich wzbogacony jest o elementy wychowania ideologicznego. Są też specjalne przedmioty, w ramach których wychowankowie szczegółowo uczą się o rewolucyjnej działalności Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila. Pracownie przedmiotowe i laboratoria wyposażone zostały w nowoczesne urządzenia i sprzęt dydaktyczny, ale uczniowie przychodzą tu dopiero po obiedzie. Większość sterylnie czystych pracowni, a także sala do rytmiki, sala sportowa i muzyczna znajdują się na najwyższych piętrach. Dwie spośród sześciu wind oblegane są na okrągło, bo — jak mówi dyrektorka — z tych właśnie korzystali obaj przywódcy. Na moje wątpliwości, czy wszyscy jeżdżą windami, usłyszałam, że młodzież wyrabia kondycję biegając po schodach.

W obrębie szkoły jest basen pływacki, aula na 500 miejsc, sala, gdzie wykłada się przedmioty teoretyczne i plac do praktycznej nauki jazdy, warsztaty z obrabiarkami i komputerem oraz pracownie kucharska i krawiecka, poliklinika, w której pracuje siedmiu lekarzy, czytelnia i biblioteka, gdzie zostały wyłożone na pulpit dwie książki w języku koreańskim o Marii Skłodowskiej-Curie. Zaintrygowały mnie ogromne, przezroczyste tafle szkła w drzwiach klas. — Polecił je zainstalować drogi przywódca Kim Dzong Il — wyjaśnia pani dyrektor. — Jeżeli ktoś spóźni się, to obserwuje przebieg lekcji przez szybę w drzwiach. Uczniowie nazwali je „szybami miłości”.

Czyż może być lepszy efekt edukacji?

Młodzież szkolna jest karna, zdyscyplinowana, pełna szacunku dla starszych. Dzieciaki spotykane na trasie przejazdu samochodem poza miastem kamienieją z pionierskim gestem lub kłaniają się do ziemi. Na ulicach nie widać bezcelowego włóczenia się. Przeważnie maszeruje uporządkowana kolumna, niechby nawet liczyła kilkoro dzieci. Powitania lub pożegnania gości zagranicznych najwyższego szczebla czy też państwowe uroczystości to okazja do zaprezentowania na stadionie pheniańskim i na stadionach w innych miejscowościach imponujących pokazów sprawności sportowej i artystycznej młodej generacji — przyszłości narodu. Tysiące studentów w uporządkowanym szyku wylega w tym czasie na trasy przejazdu dostojników, najpierw uczestnicząc w wielogodzinnych próbach, potem — z muzyką i śpiewem witając gości.

Bezustanne zajęcia, szkolenia ideologiczne i zaakceptowane formy kolektywnego życia całkowicie eliminują chuligaństwo, narkomanię, pijaństwo, prostytutkę czy złodziejstwo. Ten rodzaj dyscypliny społecznej byłby w kulturze europejskiej nie do pomyślenia. W niedzielę od rana w różnych kierunkach maszerują do określonego programem szkoły czy organizacji pionierskiej celu dziarsko śpiewające zastępy uczniów w dresach, z małymi białymi plecakami. Pobocza szos za miastem roją się od dziewcząt i chłopców porządkujących zieleń. Dorośli w tym czasie zasilają często brygady budowlane, toteż i domy rosną w oczach. Wakacje studenckie (miesiąc w sierpniu, miesiąc w styczniu) to nie tylko relaks w górach czy nad morzem. Racjonalnie wykorzystany czas wolny wypełnia działalność ideologiczna wśród robotników i chłopów oraz praca fizyczna, jak np. sadzenie wiosną ryżu.

Uniwersytet im. Kim Ir Sena liczy sobie 40 lat, a nazywany jest matką wszystkich uczelni. Do roku 1946 Korea Północna w ogóle pozbawiona była jakiegokolwiek szkoły wyższej, absolwentów japońskich szkół liczyło się na palcach. W dwa lata po powstaniu uniwersytetu wydzielono z niego Instytut Politechniczny, Pheniański Instytut Medyczny i Instytut Rolnictwa. Obecnie najstarsza uczelnia posiada 14 fakultetów i 90 katedr, dwanaście tysięcy studentów i cztery tysiące personelu, w tym dwa tysiące wykładowców i naukowców-badaczy. Jest też 8 instytutów doświadczalnych. Uniwersytet to całe miasteczko akademickie w północnej części miasta: dwa gmachy główne, biblioteka, wydawnictwo, drukarnia, domy akademickie — wszystko na ogromnym obszarze półtora miliona metrów kwadratowych. W bibliotece zgromadzono ponad 2 miliony

woluminów, a z czytelni jednocześnie może korzystać 1200 osób. Chlubą uczelni jest muzeum nauk przyrodniczych oraz fabryka eksperymentalnych przyrządów optycznych. Nie wychodząc z miasteczka akademickiego studenci i pracownicy mają na odległość „wyciągniętej ręki” stołówki, szpital i kompleks zakładów usługowych.

Studentów w granatowo-zielonych mundurach widać na dziedzińcach, w korytarzach, pod drzwiami wykładowych sal — jak wszędzie. Podobno jest tu kilku Polaków, nie udało mi się jednak nikogo wypatrzeć. Pokazano mi natomiast w ogromnej sali kolekcję upominków od Kim Ir Sena: wypchane zwierzęta, olbrzymie ryby, trepangi i nerpa ważącego 900 kg. Leopard, niedźwiedź grizzli, domowa świnia, broń myśliwska — któż miałby większy gest? Przykład wielkiej troski wielkiego wodza demonstruje mi lektorka na podstawie dokumentalnych fotografii i reprodukcji, pokazujących początki uczelni, jej otwarcie z udziałem Kim Ir Sena, zaprojektowane przez niego uniformy studenckie i znaczek, przeniesienie zajęć na czas wojny z Amerykanami do Peksongu, a potem — rozwój powojenny uniwersytetu. Tutaj uczył się Kim Dzong Il, potem kierował pracą uczelni. Studenci wychodzą stąd dogłębnie obznajomieni z działalnością przywódców zarówno na terenie uniwersytetu, jak i z całokształtem zasad ich mądrego kierownictwa.

W Phenianie istnieją ponadto wyższe uczelnie przygotowujące kadry dla wszystkich gałęzi gospodarki na terenie całego kraju. Dobrze została rozwinięta sieć instytutów wieczorowych i zaocznych, pozwalających uzupełnić kwalifikacje bez odrywania od pracy zawodowej.

Osobną dziedzinę stanowią szkoły i uczelnie ideologiczne. W Phenianie istnieje zakład naukowy dla dzieci zmarłych rewolucjonistów oraz uczelnie przygotowujące pracowników dla organów partyjnych, państwowych i gospodarczych. W Mangende działa rewolucyjna uczelnia, powołana do przygotowywania kadr politycznych i wojskowych. Poza tym wszystkim jest jeszcze wyższa szkoła partyjna im. Kim Ir Sena i pheniański uniwersytet komunistyczny, przygotowujące kadry dla partii. Funkcję biblioteki narodowej spełnia monumentalny, ale też funkcjonalny i wspaniale wyposażony Pałac Nauki, wybudowany w rekordowo krótkim czasie szesnastu miesięcy.

Edukacji społeczeństwa, a więc zjednoczeniu narodu z ideami trzech rewolucji oraz upowszechnianiu działalności prezydenta służy też literatura i sztuka. Grupa literacka „15 kwietnia” nie wyróżnia nikogo z autorów, cały bowiem zespół pracował nad „Nieśmiertelną historią” — eposeją działalności rewolucyjnej Kim Ir Sena. Inna grupa — literackie twórcze zrzeszenie Korei — wydała powieści „Pheniański czas”, „Żywa woda”, „Nowa wiosna”, „Gorące serca”. Z literatami nie miałam okazji zobaczyć się, podobnie wyszło z artystami-malarzami. Spotkanie zaprogramowano, po czym okazało się, że dzień był nieodpowiedni. Otrzymałam natomiast pięknie wydany album reprodukcji obrazów poświęconych życiu i działalności Kim Ir Sena od dzieciństwa począwszy. Każda z prac firmowana jest kilkoma nazwiskami artystów. To kolektywne działanie twórcze szczególnie mnie zaintrygowało. Podobnie jak literatura i malarstwo, również muzyka, teatr i film nastawione są przede wszystkim na prezentowanie rewolucyjnych tradycji. Także cyrk, słynny cyrk koreański, pokazuje w najnowszych, wspaniałych programach osiągnięcia rewolucji, chociażby wtedy, gdy akrobaci na trapezach ilustrują pracę na wysokości, a w tle jaśniej diapozytyw ze słupami wysokiego napięcia. Zachwycający, bajeczny teatr „Mansude” mogłam obejrzeć tylko z zewnątrz. A tam właśnie artyści odnoszą sukcesy pokazując widowni operę „Morze krwi” i opowieść muzyczno-choreograficzną „Pieśń o wolnym kraju” zgodnie z nową artystyczną formułą. Zobaczyłam natomiast wytwórnię filmową, jedną z kilku w Phenianie.

Kiedy wybierałam się do Koreańskiej Wytwórni Filmów Artystycznych, wkomponowanej w malowniczy pejzaż przedmieścia stolicy, miałam już za sobą sporo tutejszych filmów, oglądanych nie w kinach publicznych, lecz w hotelowych. Tutaj dopiero po paru godzinach wędrówki wśród naturalnych plenerów (domy i ulice różnych krajów, dawne wsie, stacja kolejowa) i skomplikowanej aparatury zainstalowanej w wielu pomieszczeniach oraz rozmów z przedstawicielami kierownictwa wytwórni i aktorami można było przekonać się, jak mocno produkcja filmowa związana jest z programowymi założeniami i historią rewolucji koreańskiej.

Po oswobodzeniu spod japońskiego kolonializmu Korea Północna rozpoczęła budowę własnej kinematografii od podstaw. Kim Ir Sen osobiście wytyczył wśród błota i zarośli miejsce pod wytwórnię. Do pracy przystąpili także nieliczni wtedy aktorzy, reżyserzy, scenarzyści. 6 kwietnia 1947 roku otwarto pierwsze studio, wyposażone w przestarzały sprzęt. W 1950 roku bomby amerykańskie - zrównały wytwórnię z ziemią i znowu po wojnie rozpoczynano od zera.

Jeszcze w końcu lipca 1949 roku zrodził się w kiepskich warunkach pierwszy i jedyny film pt.: „Moja ojczyzna” w reżyserii Kan Hon Sika. Bohater filmu Gwan Phir, znieważany przez obszarnika, który odbiera mu dzierżawę ziemi, zostaje osadzony w japońskim więzieniu. Pod wpływem dzielącego z nim los działacza podziemnej koreańskiej ludowo-rewolucyjnej armii ucieka z więzienia i wstępuje w jej szeregi. W ogniu walki wyrasta na płomiennego bojownika o wolność Korei, a po wyzwoleniu wraca do kraju, gdzie wraz z ukochaną Ok Dan bierze udział w kształtowaniu nowej rzeczywistości.

Gospodarze wytwórni przygotowali mi niespodziankę: oto mam okazję porozmawiać z odtwórczynią roli Ok Dań sprzed blisko czterdziestu lat — aktorką Mun E Bon. Przy herbacie oczekuje mnie drobna, delikatna pani w przyciemnionych okularach na łańcuszku, w czarnym aksamitnym *czogori* i długiej do ziemi *thonczhimie*. Czarne włosy ma gładko zaczesane do tyłu i upięte zupełnie tak, jak niegdyś jej filmowa bohaterka. Słucham wzruszającej opowieści o losach aktorki.

— Mam ponad siedemdziesiąt lat — mówi Mun E Bon. — Od szesnastego roku życia pracowałam jako aktorka. Dopóki grałam pod okupacją japońską, bardzo ciężko było mi połączyć tę pracę z obowiązkami matki. Miałam czworo małych dzieci, które płakały obok, gdy ja kręciłam jakąś scenę. Często zamykałam je na klucz. Kiedy po całym dniu wracałam do domu i słyszałam płacz, cieszyłam się, bo wiedziałam, że dzieci jeszcze żyją.

Po wyzwoleniu byłam w Seulu, gdzie widziałam jaką nędzę cierpieli ludzie w Korei Południowej. Władze wymagały, abyśmy w naszych rolach wyrażali szczęśliwe życie. Jakże jednak mieliśmy to robić, jeżeli tam codziennie zabijano niewinnych, a na scenę padały granaty. Aktorki zebrały pieniądze i zrobiły sobie niewielkie studio, jednak wojskowi odebrali je nam i zamienili na sklep. Artyści wciąż protestowali przeciw amerykańskim imperialistom i walczyli o rozwój narodowej kultury.

Podczas spotkania z przedstawicielami ZSRR i USA zagroziłam, że o represjach stosowanych przez Amerykanów wobec aktorów poinformujemy cały świat i przeniesiemy się na Północ, gdzie jest inaczej. 14 sierpnia 1947 roku przyszedł nakaz aresztowania mnie. Ukryłam się, lecz wkrótce odnalazł mnie pewien człowiek, przysłany przez towarzysza Kim Ir Sena, który wezwał mnie do Korei Północnej. W styczniu 1948 roku otrzymałam skierowanie do wytwórni w

Phenianie, gdzie wystłżony sprzęt wydawał mi się najpiękniejszy na świecie. Wielki wódz bardzo interesował się moim życiem zawodowym i osobistym, dotychczas dzwoni pytając o zdrowie.

Moje dzieci ukończyły wyższe uczelnie. Myślę więc, że muszę jeszcze wiele z siebie dać. Zwłaszcza że młode pokolenie nie zna wojny, głodu i łez, nie wszystko rozumie. Ja sama zostawiłam w Korei Południowej brata, o którym nie wiem nic od czterdziestu lat.

W losach Mun E Bon odbija się tragiczna przeszłość i współczesność Półwyspu Koreańskiego. Tym problemom poświęcona jest także większość realizowanych w ostatnich dziesięcioleciach filmów. Mówią one o życiu codziennym mieszkańców Korei Północnej, ale często nawiązują do długotrwałej walki z japońskim imperializmem, pokazują bohaterstwo narodu w wojnie obronnej (1950—1953) z agresorem amerykańskim, a także dramat wielu rodzin rozdzielonych do dzisiaj 250-kilometrowym murem.

Wzorcowymi filmami, które w dalszym ciągu stanowią źródło inspiracji dla reżyserów i aktorów oraz podręcznik rewolucyjnego wychowania społeczeństwa są klasyczne już dzieła lat sześćdziesiątych: „Morze krwi”, „Los agenta” i „Kwiaciarka”, a także zrealizowany w końcu lat siedemdziesiątych obraz „An Dzun Gun strzela do Ito Hirobumi”.

Film „Morze krwi” w reżyserii Czwe Ik Giu został oparty na motywach sztuki, którą napisał osobiście Kim Ir Sen. Treścią filmu są losy matki młodego żołnierza, która mimo niskiego poziomu uświadomienia społecznego stopniowo staje się walczącą rewolucjonistką. W roli matki wystąpiła jedna z najpopularniejszych obecnie w Korei aktorek. — Jan He Rion, także odtwórczyni głównej roli w filmie „Rododendron”. W latach walki zbrojnej przeciwko Japonii — tak rozpoczyna się film — Czhan Czhol Gu opuszcza rodzinę i przyłącza się z oddaniem do walczących. Opiekę nad nią sprawuje sam naczelny dowódca. Mimo to zostaje posądzona przez frakcjonistów o zdradę. Po uniewinnieniu pełni obowiązki kucharki w komendzie głównej. Dochowuje wierności idei, pokonując wszelkie przeciwności losu jak rododendron przetrzymujący pod śniegiem najgorszą zimę.

Również Jan He Rion spotykam w wytwórni, więc jest okazja do rozmowy. Silna charakterystyka w „Morzu krwi” przed laty bardzo zmieniła prezencje tej

atrakcyjnej jeszcze do dzisiaj aktorki. Urodziła się w biednej rodzinie, w górskiej prowincji Riangan. Nigdy nie myślała, że zostanie zasłużoną artystką i dostąpi szczęścia występowania w takich głośnych rolach — co szczególnie podkreśla. Już jako aktorka, w Phenianie uzupełniała zaocznie swoje kwalifikacje w Instytucie Filmowym. Początkowo grywała role bez większego znaczenia. Lecz kiedy w 1969 roku Kim Dzong Il wziął pod opiekę wytwórnę, on właśnie wynalazł Jan He Rion do roli matki w „Morzu krwi”.

— Role matek gram najczęściej i nadal takie mnie interesują — mówi aktorka. — Ludzie kochają mnie jako matkę, chcę więc nadal im służyć i Partii Pracy Korei. To dzięki niej jestem aktorką znaną w kraju i za granicą, mój syn został pisarzem, a córka inżynierem.

„Kwiciarka” to obraz kontynuujący tematykę antyjapońskiej walki narodu na przykładzie losów bohaterskiej Kot Pun i jej bliskich. Podczas XVIII Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Karlovych Yarach w roku 1972 film ten otrzymał „Prix special” i specjalny medal.

Skuteczną rolę edukacyjno-propagandową spełniają dziesiątki filmów na temat rewolucyjnych tradycji (np. wieloodcinkowa „Gwiazda Korei”, „Płonie ogień na ziemi”) i współczesności socjalistycznej („Kwitnąca wieś”, „Robotnicza rodzina”, „Górskie orły”, „Czternasta zima”).

Osobny dział stanowią obrazy pokazujące odwagę i bohaterstwo koreańskich partyzantów w latach wojny obronnej z Amerykanami: „Obrońca wzgórza 1211”, „Opowieść o pielęgniarce”, „Frontowe pieśni”, „Frontowe drogi”, „Drogi powrotnej nie ma” oraz te, których treść stanowią dramatyczne losy rozdzielonych murem betonu i polityki rodzin, a także dążenia narodu do zjednoczenia Korei — „Losy Kym Hi i Yn Hi”, „Krewni”.

Film „Krewni” jest zapisem dramatycznych przejść Dzun Do, mieszkającego w Korei Południowej, który w rozwalonym domu pozostawia niewidomą córkę i przedostaje się z przyjaciółmi na Północ. Tu odnajduje najstarszego syna, wychowanego i wykształconego przez państwo oraz starszą córkę. Kulminacyjnym punktem akcji jest jego decyzja o powrocie do chorej i rozpaczliwe pożegnanie z odnalezionymi dziećmi. Sceny, które mimo różnic mentalności i percepcji trafiają do każdego widza.



Inny ciekawy nurt kinematografii koreańskiej to filmy kostiumowe. Fascynująca jest „Opowieść o Czhun Hiang” w reżyserii Ju Won Dzuna i Jun Rion Giu — rzecz o miłości i wierności, niegdyś pokazywana w Polsce jako „Córka gejszy” i która jako jedyny klasyczny utwór koreański została przed ćwierćwieczem przetłumaczona i opracowana dla polskiego czytelnika przez Halinę Ogarek-Czój.

W górach Rioniak, w pobliżu Mangende, trafiłam przypadkowo na ekipę filmową kręcącą końcowe sceny do pięknej baśni o On Dalu i córce króla. Akcja rozgrywa się w epoce Korio, a mądry i dobry On Dal, pokonując wszelkie przeciwności i wrogość króla dostaje rękę jego córki, pięknej Pyong Gang.

Mój ostatni film to jedna z najnowszych propozycji kina koreańskiego — „Odwilż” w reżyserii Li Czun Guna. Akcja bardzo współczesna, rozgrywająca się w środowisku przemysłowców koreańskich w Japonii. Zaplanowany ślub córki właściciela firmy Daesong ze studentem, marzącym o zjednoczeniu Korei, nie dochodzi do skutku. Na przeszkodzie staje główny udziałowiec firmy i wuj dziewczyny, zdecydowany wróg KRL-D. Po wielu skomplikowanych perypetiach wszystko kończy się happy endem. Tak najprościej mógłby odebrać ten film w Polsce widz nie przygotowany. Tymczasem jego kanwę stanowią najboleśniejse dla koreańskiego narodu problemy.

Henryk Rybak, który w ciągu dwóch lat naoglądał się tutaj filmów, tak oto scharakteryzował koreańską kinematografię: „Filmy koreańskie bardzo często zmuszają do refleksji, czasem wyciskają łzy, chwytają za gardło, ale nade wszystko prezentują dodatnie wartości moralne. Wierność ideałom, rodzinie, przyjaźni, wierność w miłości dwojga ludzi, poświęcenie, jeśli tego wymaga sytuacja... Filmy koreańskie wpajają w młodzież umiłowanie własnej ojczyzny, pracy, uczciwości, a przy tym dużo w nich jest muzyki, pieśni, pięknych zdjęć plenerowych”. To fakt.

## **W kręgu medycyny**

W koreańskich publikacjach można wyczytać wiele informacji na temat bezpłatnego systemu ochrony zdrowia, który wprowadzono jeszcze w okresie trwania wojny w 1953 roku. Wszystkie placówki służby zdrowia są

ogólnodostępne, wiejskie ambulatoria zostały zamienione w szpitale, kontakt z lekarzem jest możliwy także w siedzibach ludzkich w górach. Na badania, domowe wizyty lekarzy, operacje, leki w aptekach, podróże i leczenie sanatoryjne, żywność dietetyczną i sprzęt ortopedyczny państwo wydaje kolosalne sumy. Koszty opieki lekarskiej są tak wysokie, że po przeliczeniu okazuje się, iż co miesiąc na jednego obywatela wypadają jego dwumiesięczne pobory.

W zakresie profilaktyki funkcjonuje w całym kraju system służb sanitarno-epidemiologicznych oraz higienicznych. Dzięki temu dawno już zapomniano w Korei o takich chorobach, jak cholera, tyfus brzuszny, japońskie zapalenie mózgu itd. W 1979 roku na każde 10 tysięcy mieszkańców przypadało 120 łóżek szpitalnych i 23,3 lekarzy. Zjawiska braku lekarzy na wsi po prostu nie ma. W tych miejscowościach, gdzie tryskają gorące i mineralne źródła, wybudowano sanatoria.

Równoległe z medycyną współczesną rozwija się tradycyjna medycyna koreańska. W szpitalach specjalistycznych, wyposażonych w nowoczesny sprzęt, stosuje się metody leczenia tradycyjnego na równi ze współczesnymi. Leki produkuje koreański przemysł farmaceutyczny, a sprzęt, w tym elektroniczny, fabryki instrumentów medycznych. Nie brak też zagranicznych urządzeń i aparatury.

W Korei szczególny nacisk kładzie się nie tyle na leczenie choroby, co na profilaktykę. Toteż cała młodzież szkolna objęta jest intensywnymi zajęciami gimnastycznymi, a w samym Phenianie istnieje ponad 3700 szkolnych kółek sportowych oraz 130 zespołów przygotowujących sportowe kadry.

Młodzież i dorośli w stolicy mają do dyspozycji dziesiątki basenów krytych i na wolnym powietrzu, stadionów, nowoczesny pałac sportu, gdzie przeprowadza się zawody w osiemnastu dyscyplinach oraz piękne kryte lodowisko. Normalnym zjawiskiem jest tutaj grupowe lub pojedyncze bieganie ludzi w różnym wieku. Skutki profilaktyki sportowej i zapobiegawczego stosowania tradycyjnych leków są widoczne. Do wyzwolenia w 1945 roku średnia długość życia Koreańczyków wynosiła trzydzieści osiem lat, obecnie dochodzi do siedemdziesięciu czterech. Śmiertelność zmniejszyła się w porównaniu z tamtym okresem o 75 procent. Ludzie lubią podkreślać, że u nich młodość obchodzi się w wieku sześćdziesięciu

lat, a jubileusz starości — koło dziewięćdziesięciu. W Phenianie funkcjonuje sieć placówek medycznych, obejmujących wszystkich mieszkańców. Zgodnie z zasadą dzielnicowej opieki każdy ma swojego lekarza, który w razie potrzeby odwiedza pacjenta w domu. Specjalną troską otoczone jest zdrowie dzieci i kobiet. Przykładem tej troski jest wzniesiony w dzielnicy Munsu szpital położniczy, zajmujący powierzchnię ponad sześćdziesięciu tysięcy metrów kwadratowych. Ilość łóżek trzykrotnie przewyższa tutaj łączną ilość miejsc we wszystkich czterech szpitalach, które znajdowały się w stolicy przed oswobodzeniem kraju. Poza szpitalem Czerwonego Krzyża Korei, kliniką Instytutu Medycznego i wieloma innymi szpitalami istnieją też w stolicy lecznice tradycyjnej medycyny. Nie zorientować się przynajmniej w tych metodach, byłoby poważnym niedopatrzeniem.

Nie miałam okazji zetknąć się ze służbą medyczną w górach czy na wsi. W Canguwonie pokazano mi jedynie parterowy barak, mieszczący szpitalik dla pracowników spółdzielni produkcyjnej. W stolicy za to zobaczyłam najbardziej charakterystyczne placówki lecznictwa zamkniętego. Jedną z nich jest właśnie pheniański szpital położniczy, zakomponowany bardzo funkcjonalnie i estetycznie.

Zwarta bryła centralnego czternastokondygnacyjnego gmachu widoczna jest z dużej odległości po wschodniej stronie rzeki Tedong. Pod główne wejście podjechaliśmy tak blisko, że z samochodu można było wejść od razu do holu. Tu założyłam biały fartuch i kapcie, w których już bezkarnie mogłam deptać olśniewającą posadzkę westybulu, wyglądającą jak bajeczny kobierzec pełen fantastycznych kwiatów i ornamentów. Posadzkę wykonano z kamieni szlachetnych i półszlachetnych w piętnastu odcieniach i kolorach: są tu rubiny, szafiry, topazy ułożone przez anonimowych artystów we wzory z płatków kamelii i kwiatów brzoskwiń oraz wachlarzowatych liści miłorzębu. Ten niezwykle kamienny dywan odbija refleksy ogromnego żyrandola zawieszzonego pod sufitem, a wszystko razem ma przypominać podwodny, legendarny pałac morskiego władcy. Równie piękne posadzki są w niektórych pokojach pacjentek, korytarze natomiast wyłożone zostały płytami marmurowymi.

Podobne posadzki oglądałam także w wodno-sportowym kompleksie „Czhangwanwon”, co oznacza „zielony i jasny dom”. Mimo dużej odległości, bo

to aż nad Pothong-gang, cudzoziemcy z mojego hotelu spotykali się tam wielokrotnie, oczywiście w dniach dla nich przeznaczonych. W kompleksie funkcjonuje cały system łaźni ogólnych, rodzinnych i z pojedynczymi kabinami, zakłady fryzjerskie wyposażone w japońskie urządzenia, gabinety masażu i sauny, ogromny basen sportowy z podwodnymi ekranami dla widzów oraz basen dla dzieci i dla dorosłych. Za kilka wonów otrzymuje się kapcie zaraz po wejściu, a przy natryskach — także kostium kąpielowy. Cudzoziemcy tłoku nie robią; w basenie pływaliśmy tylko we czworo. Oczekując z Rumunką Michaelą Irimia na taksówkę podziwiałyśmy w holu kamienną szlachetną wykładzinę pod nogami oraz wspaniałe fontanny oświetlone od dołu różnobarwnymi żarówkami i ozdobione pośrodku kryształową kompozycją. Zamówiona u recepcjonistki taksówka podjechała w kilka minut i za 3 wony zawiozła nas oraz zaprzyjaźnionych Węgrów do hotelu.

Wracajmy do szpitala. Oprowadzający mnie zastępca dyrektora, Dzo Nam Czun serwuje wyczerpującą dawkę informacji ilustrując je przykładami. Zastanawiam się, na przykład, ile lat układano kamienne kobierce, na co mój przewodnik mówi, że w ogóle cały obiekt złożony z sześciu gmachów oddano do użytku w ciągu dziewięciu miesięcy. To znaczy w takim okresie, w jakim dojrzewa płód w łonie matki. W zasadzie tempo budowy i monumentalizm tego szpitalnego kompleksu nie powinny mnie już zadziwiać, a jednak...

Szpital służy pacjentkom z całego kraju. Jednocześnie może tu przebywać sześćset kobiet ciężarnych i położnic, czterysta chorych na ginekologii oraz pięćset noworodków. Wśród oddziałów specjalistycznych są m.in. urologiczny, stomatologiczny, okulistyczny, otolaryngologiczny, reanimacyjny oraz gabinety diagnostyczne, rentgenowskie, fizykoterapeutyczne i laboratoria analityczne. Wszędzie oglądam znakomite wyposażenie, nowoczesny sprzęt i aparaturę — dużo zagranicznej. W laboratorium analitycznym automatyczne urządzenia odczytują w ciągu godziny dwa tysiące wyników. Żeby wykluczyć pomyłki maszyny, codziennie rano inżynier-specjalista kontroluje jej sprawność. W ciągu jednego przedpołudnia pacjentka może przejść pełny cykl wszechstronnych badań. Pokoje położnic są kilkusobowe. Jest jednak sporo izolatek wyposażonych w łóżka z przesuwającymi się na kółkach stolikami oraz w luksusowe łazienki z prysznicem. Na każdym piętrze, gdzie przebywają młode matki, zainstalowano kamery telewizyjne w eleganckich kabinach. Właśnie odwiedzające rodziny siedzą w specjalnym pomieszczeniu, gdzie jest rząd

podobnych kabin z kamerami i monitorami, na których można oglądać matkę i noworodka w kolorze. Na jednym z ekranów pojawia się młoda pacjentka, która widząc obcą osobę za plecami krewnych, wycofuje się w popłochu.

Z ciekawości udało mi się wejść do jednej z sal operacyjnych, gdzie właśnie zespół lekarzy dokonywał poważnego zabiegu, co było widać po skupieniu i precyzji ruchów. W innej sali, otoczonej pod sufitem kręgiem niewielkich okien, zwykle odbywają zajęcia studenci medycyny specjalizujący się w ginekologii. Dłużej zatrzymałam się na oddziale noworodków j wcześniaków. Lekarze informują, że jeżeli w skali światowej umiera trzysta procent noworodków, to tutaj zaledwie pół procenta. W warunkach tego szpitala udało się utrzymać przy życiu dziecko ważące 600 gramów. Podobnie z wcześniakami. W porównaniu z danymi światowymi (dwadzieścia trzy procent) w Korei jest ich tylko jeden procent. W przestronnej sali stoją rzędy przeszklonych inkubatorów i tylko w niektórych dostrzegam nagie, drobniutkie ciała. Obok, w ogrzonym „akwarium” ze szklanych tafli, młode mamy karmią swoje parodniowe dzieci.

W 1984 roku przyszły tu na świat czworaczki, dzieci Kim En Suk i Kim Rion Sona z Nampho. Otoczono je wszechstronną opieką medyczną i materialną, rodzina otrzymała także nowy dom. Czworaczki to przypadek wyjątkowy; Kiedy opuszczały szpital, zostały wyposażone, podobnie jak trojaczki (rocznie bywa 5—6 takich niespodzianek), w tradycyjne upominki od państwa: dziewczynki otrzymały złote pierścionki, chłopcy — srebrne kindżały. Bliźniąt bywa o wiele więcej. Wielką wagę personel szpitala (czterystu pięćdziesięciu lekarzy, pięćset pięćdziesiąt pielęgniarek, sześćset salowych, nianie, kucharek) przywiązuje do diety położnic, którym serwuje się miód i morską kapustę jako źródło najcenniejszych witamin i mikroelementów. Jak twierdzą tutejsi lekarze, tradycję tę wprowadził Kim Dzong Il i jemu matki powinny być wdzięczne za nieustającą troskę. Od czasu uruchomienia w 1980 roku klinika położnicza stanowi bazę dla studentów instytutów medycznych i pracowników służby zdrowia w całym kraju odbywających tu praktyki. Ten imponujący obiekt, udekorowany przed frontonem zespołem fontann i śnieżnobiałych rzeźb, przerósł nowoczesnością wszystkie pozostałe stołeczne szpitale.

13 kwietnia 1986 roku oddany został w niedalekim sąsiedztwie, nad brzegiem rzeki Tedong, kolejny kompleks szpitalny. Jego inicjatorem i fundatorem jest doktor medycyny Kim Man Ju, główny lekarz szpitala „Nisiarai” w Japonii, radca stowarzyszenia koreańskich pracowników służby zdrowia w Japonii. W szpitalu składającym się z głównego piętnastokondygnacyjnego budynku i obiektów

towarzyszących znajduje się ponad trzydzieści oddziałów specjalistycznych, a wśród nich neuroterapeutyczny, kardiochirurgiczny, anestezjologiczny i oddział neurochirurgii mózgu, wyposażony w tomograf komputerowy. 1300 łóżek, ponad dwa tysiące pomieszczeń, urządzenia i aparatura medyczna produkcji japońskiej — czyż mógł być lepszy prezent od rodaka-patrioty, żyjącego za granicą? Kim Man Ju uczestniczył w ceremonii otwarcia szpitala, który otrzymał jego imię. Doktorowi przyznano order Kim Ir Sena i tytuł honorowego lekarza głównego. Zgodnie z koreańską tradycją na dziedzińcu stanął obelisk ku czci fundatora. Skromny ten człowiek, chcąc wyrazić wdzięczność za okazane mu zaszczyty przysiągł, że uczyni wszystko dla rozwoju współpracy z lekarzami Korei i jeszcze większej pomocy medycznej dla swoich rodaków.

W szpitalu pheniańskiego Instytutu Medycznego nikt nie żądał ode mnie nakładania białego fartucha, dopóki nie wkroczyliśmy na oddział z salami operacyjnymi. Placówka należy do najbardziej „leciwych” w stolicy, otwarta została bowiem w październiku 1948 roku. Początkowo w niewielkim budynku setka lekarzy zajmowała się taką samą liczbą pacjentów. W czasie wojny amerykańskiej bombowce nie darowały także szpitalowi, więc po jej zakończeniu w tym samym miejscu wzniesiono nowe budynki, odstające już jednak od nowoczesnej architektury.

W długim korytarzu na parterze snują się kobiety z dziećmi zawiniętymi w chusty. Dalekowschodnim obyczajem nosi się je przeważnie na plecach. Władze zabraniają wprawdzie takiego „transportu”, jednak wózków dziecięcych na ulicach miast nie widać. Przed okienkiem rejestrującym do poradni stoi kilka osób. Naczelnik oddziału planowania Song Dong Rom w roli przewodnika pokazuje mi ciekawsze pomieszczenia. Po obejrzeniu supernowoczesnej aparatury medycznej gdzie indziej, nie ona przykuwa moją uwagę, chociaż w wielu gabinetach pacjenci poddawani są badaniom przy jej pomocy. W salce operacyjnej z pomalowaną na zielono olejną lamperią asystuję przez pewien czas przy operacji żołądka u starszego człowieka. Weszłam tu dopiero po przebraniu się w fartuch i stosowną lecz za dużą czapkę opadającą na oczy, po założeniu na własne buty płóciennych pokrowców wiązanych pod kolanami i wokół kostek oraz sterylnej maski na twarz. Podobne zabiegi oglądałam jednak i w Polsce, wycofałam się więc dyskretnie, żeby nie odwracać uwagi operujących. Sprawa, która interesowała mnie szczególnie, to możliwość przyjrzenia się

tradycyjnym sposobom leczenia, stosowanym w tym szpitalu na szeroką skalę. Zanim jednak dowiem się czegokolwiek na ten temat, Son Dong Rom udziela mi skondensowanych informacji o Instytucie Medycznym i szpitalu.

— Tak więc instytut, na który składa się sześć fakultetów i osiemdziesiąt katedr, kształci jednorazowo trzy tysiące studentów — mówi pan Song. — Co roku dajemy społeczeństwu średnio pięciuset absolwentów. W uczelni funkcjonuje dwadzieścia instytutów naukowo-badawczych, a w nich — dwustu naukowców. Szpital stanowi bazę dla studenckich praktyk w zakresie lecznictwa. Ponadto instytut realizuje także swoją funkcję naukową i oświatową. W szpitalu pracuje pięciuset lekarzy i pięćset pielęgniarek. Tygodniowo przyjmujemy dwa tysiące pacjentów w przychodni i tysiąc hospitalizujemy, co razem daje trzy tysiące. Obecnie posiadamy 1600 różnorodnych urządzeń medycznych, które służą do zajęć praktycznych studentom począwszy od czwartego roku studiów.

Niektóre katedry działają w innych szpitalach specjalistycznych; na przykład w zakresie ginekologii korzystamy z bazy jaką dysponuje pheniański Szpital Położniczy. Studentów przygotowujemy zgodnie ze wskazaniem wielkiego wodza, który polecił przede wszystkim stosować profilaktykę wobec zdrowych, a chorych leczyć metodami współczesnymi i tradycyjnymi. Stawiając diagnozę lekarze u nas wiedzą, kogo należy leczyć środkami farmakologicznymi, działającymi szybko, a kogo metodami tradycyjnymi. Leczenie według tych metod jest długotrwałe, ale równie skuteczne.

Ta część szpitala, gdzie przechowuje się tradycyjne leki, dla tutejszego personelu jest czymś naturalnym. Dla mnie natomiast stanowi niemal sanktuarium wiedzy tajemnej. Zwłaszcza w zestawieniu z oglądanym przed chwilą komputerowym wydrukiem badania wątroby ze zlokalizowanym obrazem *carcinomy*, co zdemonstrował mi młody lekarz w wysokiej jak u kucharza, powszechnie tu używanej okrągłej, białej czapce. Ze świata nowoczesnej techniki weszłam w epokę medycznego średniowiecza, przysposobionego na koniec wieku dwudziestego. Już w niewielkim korytarzu zatrzymały mnie zestawy wiszących na ścianach płaskich, oszklonych gablot, w których na wyściółce z waty umieszczono wysuszone rośliny o nieznanym mi wyglądzie. To medyczny „zielnik” dla studentów. Jedno z pomieszczeń wypełnione jest od podłogi po wysoki sufit jak plaster miodu rzędami i szeregami drewnianych szufladek oznakowanych koreańskimi symbolami. Na moje życzenie miła dziewczyna w

białym kitlu wysuwa różne szufladki, pokazując ich oryginalną zawartość: wysuszone nasiona i drobne owoce, korzenie, pokruszone trawy, garście kory i zgoła nieokreślone grudki czy odłamki podobne do kości. Stół wypełniają kawałki jelenich rogów, słoje pełne drugich, skręconych korzeni, połówek wysuszonych owoców o przekroju podobnym do cytryn, wiązki pachnących ziół. W sąsiednim pokoju kobieca obsługa zajmuje się dozowaniem kolorowych drażetek. Są to roślinne preparaty, których wielkie słoje zapełniają regały wzdłuż ścian.

Z informacji Song Dong Roma wynika, że tradycyjne lekarstwa w Korei dzieli się na trzy grupy. Najbogatsza z nich to rośliny, o których można mówić bardzo długo. Druga grupa to kości zwierząt, na przykład tygrysa czy niedźwiedzia oraz rogi jelenia, a trzecia — to lecznicze minerały, czyli kamienie. Do tradycyjnych metod leczniczych zalicza się także masaże, akupunkturę. Podczas zwiedzania szpitala uchylono mi fragment białego parawanu, za którym na kozetce leżał pacjent z odsłoniętą do kolana nogą, gęsto najeżoną igłami. Niemal identyczne, lecz pochodzące z XV wieku, oglądałam w muzeum historycznym. Bardzo często zabiegi akupunktury stosuje się w przypadkach schorzeń, których źródłem są nerwy. Równie tradycyjne jest stawianie baniek, które wykorzystuje się m.in. do leczenia miejsc po uderzeniu. Zajrzałam za inny parawan, gdzie właśnie młodej dziewczynie obstawiano plecy szklanymi kulistymi naczynkami, jakie i w Polsce znane są z domowych tradycji. Z jedną tylko różnicą: tu uzyskuje się próżnię w bańce nie od płomienia z denaturatu, tylko za pomocą elektrycznego urządzenia.

W tym szpitalu, a zdaje się że i w innych, leki chemiczne i tradycyjne aplikowane są w stosunku pół na pół. Każdy lekarz orientuje się w przydatności poszczególnych traw i korzeni. Jest też w instytucie odpowiedni fakultet, przygotowujący lekarzy w tej specjalności. W koreańskim świecie lekarskim dość szybko zorientowano się, że lekarstwa chemiczne przeważnie mają działanie uboczne, natomiast środki tradycyjne lecząc jeden organ wewnętrzny, wzmacniają jednocześnie inne. Z dumą podkreśla się tu, że w ostatnich latach również Europa zwraca się ku medycynie Wschodu, o czym świadczą m.in. praktyki lekarzy z innych krajów, w tym także polskich. Tutejsi specjaliści odkryli wiele cennych roślin leczniczych w Europie i Afryce, są więc zainteresowani wymianą na płaszczyźnie medycznej. Bezustannie trwają też prace badawcze nad sposobami pozyskiwania z roślin najbardziej wartościowych składników. Najprostszym, ale też i uciążliwym w przyrządzaniu jest gotowanie wywaru do



picia. Na szeroką skalę jest to jednak niemożliwe, więc wytwarza się z surowców tabletki lub krople. Trwają badania nad metodą uzyskiwania wyciągów, co na razie udaje się tylko w laboratorium.

W Korei panuje przekonanie, że niemal wszystkie rośliny są lecznicze, a jest ich przecież tysiące. Szczególną sławą cieszy się między innymi tak zwana trawa wiecznego życia oraz korzeń *insamu* — odpowiednik chińskiego *żeń-szenia*. Rogi jelenia pany służą zwłaszcza podtrzymaniu męskiej kondycji. Ludzie wierzą, że jubileusz starości przypadający tu na dziewięćdziesiąte urodziny odbywa się także za sprawą tych środków. Kult ich przetrwał wieki. Wśród dziesięciu symboli przyrody na średniowiecznej skrzyni inkrustowanej masą perłową są trzy rośliny: sosna, bambus i trawa wiecznego życia (pozostałe symbole to żółw, jeleni i żuraw oraz rzeka, góry, słońce i księżyc). Korzeń *insamu* jest też jednym z najpopularniejszych motywów zdobnictwa artystycznego.

Niemal każdy Koreańczyk, którego spytałam o lecznicze właściwości roślin, służył mi bogactwem informacji. A już kopalnią ich był Pak Won Sen. Jak wielu innych, wie on, że na polach rośnie zielsko, którego można używać do natychmiastowego zatamowania płynącej krwi. A jeżeli nie ma go pod ręką, to można poszukać jednego z trzech gatunków roślin o szerokich liściach. Liście morwy, pokarm jedwabników, także leczą organizm, podobnie jak jej owoce, które wzmacniają wątrobę oraz korzenie, które przedłużają życie. Wyciąg z nich przyciemnia ponadto włosy. Niestety nie było gdzie sprawdzić skuteczności tych wszystkich specyfików. Tak więc morwa oraz jedwabniki kojarzą mi się wyłącznie z jedwabiem, zwłaszcza ze słynnym pheniańskim *sektondanem*. Źródła podają, że kupcy handlowali koreańskim jedwabiem już w okresie Trzech Królestw. Współczesny *tasekdan* używany jest głównie na stroje świąteczne lub na rękawy do dziecięcych *czogori*. Specjalny wzór na te rękawy tkany jest w dwucentymetrowe poprzeczne paski we wszystkich kolorach tęczy. Wzorzysty *sektondan* w kwiaty, motyle i traktory pięknie wygląda nawet w gotowej konfekcji. Moje hotelowe łóżko pokryte było kapą z czerwonego połyskliwego *sektondanu* z zielonym koniem Czhollima na samym środku oraz żółtymi frędzlami dookoła.

Z igieł sosnowych pławiących się w wodzie z cukrem można uzyskać eliksir zawierający witaminę C. Maść z sosnowej żywicy leczy żołądek i gruźlicę. Sosna jest bardzo rozpowszechnionym drzewem, dobrze rośnie na skalistym podłożu. Wiecznie zielona sosna stanowi dla Koreańczyków symbol wytrwałości w walce z

japońskimi okupantami. Kiedyś ludzie w górach utrzymywali się przy życiu mając za pożywienie sosnowe igliwie.

Gorzka końcówka ogórka jest najlepszym środkiem przywracającym siły, gdy człowiek zaśnie wskutek porażenia słonecznego. „Włosy” z kolby kukurydzy oraz skórki z jabłek są bardzo dobre przy niezycie żołądka. Roślina *minari*, z której przyrządza się sałatki, to równocześnie lek stosowany przy zapaleniu wątroby. Nawet podobna do pomidorów hurma posiada przy łodyżce zielone wypustki o leczniczych właściwościach. Można tak w nieskończoność.

Są także rośliny lecznicze cieszące się szczególną atencją ze względu na swoje właściwości i rodowód przypisany do określonych regionów geograficznych. Na przykład *astragalus pektusański* (z okolic gór Pektu) o żółtych kwiatach i pierzastych liściach zawiera znacznie więcej glukozy niż rosnący w innych rejonach. Z jego długich korzeni przyrządza się w fabrykach farmaceutycznych środki odżywczo-wzmacniające „*sanhwathan*” i „*sipdzondebogo*”, płyn przeciwpotowy itd. Rekonwalescentom serwuje się kurę pieczoną z tym korzeniem, który ma właściwości krwiotwórcze.

Na wysokich grzbietach Pektu-san, ale też w rejonie Hamgen i Pudzonrion, a przede wszystkim na grzbietach Ranrim rośnie *kondopsis* leśny, którego łodygi o owalnych liściach osiągają wysokość do 3 metrów. Grube kłącza stanowią jeden ze składników „*sipdzondebogo*” i preparatu krwiotwórczo-odżywczego „*samriongo*”, zalecanego przy anemii, zawrotach głowy czy przepracowaniu. Sposobem domowym wykorzystuje się te kłącza gotując je z potrawami zbożowymi, po utłuczeniu mieszając z miodem lub robiąc na nich nalewkę.

Za jedną ze skuteczniejszych traw leczniczych uznaje się *remaniję* kleistą, która rośnie wprawdzie w prowincjach Północny Hwanhe oraz Południowy i Północny Phenian, jednak ta, która wyrasta w państwowym gospodarstwie roślin leczniczych w powiecie San-won, specjalizującym się w hodowli eksportowej, jest najlepsza gatunkowo. Z suszonej przyrządza się preparaty wzmacniające „*rogionthonikum*”, „*riunmigo*”, „*samulhwan*” i inne. Gotowana na parze jest jednym ze składników leku tamującego krew (może o tej opowiadał Won Sen?). Z trawy tej, przetrzymywanej w piasku i nie mytej, wodą przyrządza się „*keńokko*” bardzo skuteczny środek dla tych, którzy tracą pamięć, apetyt i... potencję, a także „*puinthonikum*” przeciwko chorobom kobiecym.

W wielu schorzeniach stosuje się wyciągi z korzeni białej piwonii rosnącej w powiecie Kange i Ranrim. Tę właśnie odmianę jako najważniejszy składnik leków przeciwko dolegliwościom żołądkowym, robaczycy, ropiejącym ranom czy środków wzmacniających dla położnic uprawia się obecnie metodą przemysłową. Nie wiadomo, czy wcześniej znalazł się w ludowej pieśni czy w medycynie biały dzwoneczek rosnący w górach Kymgang—Diamentowych. W bambusowym koszyku mieści się jeden jego korzeń, który w Korei określany jest mianem bliskiego krewnego *insamu*. W celu pozyskania tego cennego leczniczego surowca utworzono specjalne przedsiębiorstwo z zakładami w kilku powiatach. Po usunięciu skóry, korzenie wykorzystuje się do produkcji lekarstw „*inhudzon*”, „*phedoksan*”, „*kamgilthan*” itp. przeciw chorobom wywołanym przez przeziębienia. Szczególne znaczenie przy leczeniu różnorodnych chorób żołądkowych ma rabarbar koreański, rosnący w zasadzie w każdym miejscu płaskowyżu, ale najlepszy jest zbierany w okolicy Kema. Czerwono-żółte kłącza przetwarzane są na pigułki „*rionsinhwan*” przeciw niestrawności i skurczom żołądka. Co roku wczesną wiosną i jesienią na płaskowyżu Kema odbywają się wykopki 3—5-letnich roślin, które po usunięciu drobnych korzonków i skóry ora/ wysuszeniu dostarcza się do zakładów farmaceutycznych. Z kłączy rabarbaru polnego wyrabia się ponadto surowiec do żółtej farby, a łodygi używane są do potraw.

Na wystawie osiągnięć socjalistycznych w Phenianie, wśród eksponatów charakterystycznych dla wszystkich gałęzi gospodarki w Korei, widziałam, obok innych leków, szklane słoje z roślinami zatopionymi w płynie konserwującym. Z tabliczek nietrudno odczytać napisy, bo wykonano je w języku łacińskim: *radix schinseng*. Jest to przypominający kształtem sylwetkę człowieka korzeń *żeń-szeń*. *Insam*. Duma lekarskiego świata Korei, egzotyczna ciekawostka medyczna zaakceptowana już dawno przez europejski przemysł kosmetyczny. Od dawnej nazwy kraju korzenie pochodzące z plantacji pod Kesongiem otrzymały miano *insamu* korioskiego. Oglądałam te plantacje w ponure, deszczowe popołudnie wspinając się zwrotnym samochodem w kierunku punktu obserwacyjnego z widokiem na żelazobetonową ścianę i górzysty pejzaż Korei Południowej. W drodze powrotnej usiłowałam fotografować plantacje, mimo kłębiących się chmur i ostrzeżeń, że *insam* objęty jest tajemnicą produkcji. Zdjęcia nie wyszły. W pamięci pozostał mi obraz długich rzędów skośnie ustawionych płaskich daszków, opierających się na krótkich palikach. Razem

tworzyły płaszczyzny jak gdyby odwrotnie układanych dachówek, ciągnące się aż po stromiznę najbliższego górskiego *zbozza*. W ten sposób powstają zbliżone do naturalnych warunki hodowli. W stanie dzikim *insam* rośnie między korzeniami drzew, w głębokim cieniu. „Palankiny” na plantacjach pozwalają utrzymać cień niezależnie od siły operującego słońca. Co roku w tym samym miejscu roślina rozwija się i zakwita. Ale żeby korzeń był wystarczająco duży i przydatny dla przemysłu farmaceutycznego i kosmetycznego, musi upłynąć kilka, a nawet kilkanaście lat.

W Kesongu, słynącym między innymi ze znajdującego się w pobliżu miasta kompleksu grobowców rodzinnych króla Konmina, władającego państwem Korio w drugiej połowie XIV wieku, jest równie znana fabryka przetwórstwa *insamu*. Wieloletnie badania naukowe tej rośliny wyodrębniły z niej wiele cennych składników, które służą wzmocnieniu zdrowia i przedłużeniu *życia*: glukozę, olejki eteryczne, kwasy organiczne i aminokwasy, witaminy i wiele mikroelementów. Nic też dziwnego, że sławny korzeń wykorzystywany jest do produkcji leków przeciw różnym schorzeniom, ostatnio także przeciw rakowi i traktuje się go jako podstawowy surowiec leczniczy w tradycyjnej medycynie koreańskiej.

Przetwórstwo *insamu* opiera się na trzech podstawowych metodach: suszeniu, odparowywaniu i suszeniu oraz gotowaniu. Korzenie wysuszone na słońcu to *peksam*, odparowane i wysuszone to tzw. *insam* czerwony czyli *honsam*, a wygotowane to *thansam*. Te dwa ostatnie uzyskuje się właśnie w Kesongu wraz z przeszło trzydziestoma rodzajami różnorodnych środków wzmacniających i kosmetycznych. *Honsam* i herbata ze znakiem „*kesongkorioinsamczha*” (zestawienie nazwy miasta, kraju, nazwy korzenia plus końcówka) otrzymały złote medale na międzynarodowych wystawach w Jugosławii i we Włoszech. Jasnożółtą herbatę o specyficznym smaku piłam w Korei kilkakrotnie. Podaje się ją m.in. gościom w restauracjach czy cudzoziemcom w przerwie podczas męczącej marszruty po muzealnych wnętrzach. W szpitalach widziałam tabletki insamowe i leki do podawania w zastrzykach.

W sklepach spożywczych bywa marmolada insamowa i cukierki oraz wódka „*insam*”, „*samno*” i „*sambek*”. Symboliczna suma wonów nie pozwalała mi na kupno tego specjału, jednak parę pięćdziesiątek i mnie nie ominęło. Na kieszeń Koreańczyka to za dużo, ale obcokrajowcy wykupują zestawy kosmetyków insamowych po siedemnaście lub po dwadzieścia kilka wonów.

Przy okazji nie od rzeczy będzie wspomnieć, że środki płatnicze w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej przyprawiają cudzoziemca na początku o zawrót głowy. Monety i banknoty są niby takie same, a jednocześnie w trzech rodzajach. Obywatel koreański dysponuje wonami w banknotach o odpowiednim nominale. Gość z kraju socjalistycznego przywozi z sobą lub otrzymuje identyczne banknoty, oznakowane jednak odpowiednim niebieskim nadrukiem. Czerwona pieczęć w tym samym miejscu to równowartość dolarów w relacji 1:2 (1 dolar = 2 wony, 10 dżonów = 5 centów; 1 czarnorynkowy dolar kupiony w Polsce pod „Pewexem” w 1986 roku za 700 złotych = 2 wony, czyli 70 złotych). Odpowiednio monety różnicują gwiazdki: „koreańskie” dzony są bez gwiazdek, socjalistyczne — z jedną, dolarowe — z dwoma. W „Diplomexach” dla obcokrajowców płaci się wyłącznie pieniędzmi oznakowanymi, a ceny często podawane są w wonach i ich dolarowej równowartości. Czarny rynek w Korei nie istnieje, toteż bez sensu trafiają do tego słynącego z uczciwości kraju turyści nastawieni na handel.

Kiedy na lotnisku żegnałam się z moimi przyjaciółmi, otrzymałam na drogę niewielkie opakowanie „*Korioinsamindan*” zawierające „rtęciowe” kuleczki o miętowym smaku. Na wypadek gdybym zaśląbła, cierpiała na ból głowy itd. Dołączyłam grzechoczący kartonik do torebki z kilkoma wysuszonymi korzeniami *insamu*, które jak wiem, z wielkim trudem zdobyła dla mnie Li Jon Ok i podarowała podczas spotkania w jej domu. Zabrałam z sobą także niezwykle podarunek, który otrzymałam na zakończenie wizyty w szpitalu Instytutu Medycznego. W odpowiedzi na moje pytanie o środki przedłużające życie (co uczyniłam właśnie przy insamowej herbacie) przyniesiono mi pięć papierowych torebek z odręcznymi koreańskimi adnotacjami. Kim Kwan Ho szybko uporał się z przekładem i teraz wiem, że kruche pasemka żółtej kory to *hwanbek* przeciw zapaleniu wątroby, wysuszone czerwone jagody *kugizy* wzmacniają organizm i orzeźwiają, szklisto-zielone stwardniałe płatki *kenegym* leczą niestrawność żołądka, a skośnie cięte gałązki *hwangi* i *kamczho* niewątpliwie wzmocnią organy wewnętrzne. Nie używałam dotąd tych znakomitych środków. Wystarczy, że spojrzę na leżące zawsze pod ręką torebki i czuję się jakby lepiej...

## Kto wróg, kto przyjaciel

Do Kesongu leżącego około dwieście kilometrów na południe od Phenianu można, oczywiście, dostać się samochodem. Ja pojechałam tam pociągiem, który krótko po północy wchłonął na stołecznym dworcu nieliczną grupę pasażerów. Koreańczycy podróżują nieporównywalnie rzadziej niż Polacy. W moim wagonie sypialnym znalazło się jedynie kilkanaście działaczek ruchu pokoju z Japonii, no i mój nieodłączny przewodnik oraz tłumacz. Około siódmej rano wtoczyliśmy się na peron w Kesongu, skąd samochód zabrał nas do tutajszego hotelu. Miasto słynie z uprawy i przetwórstwa *insamu*, pięknego pałacu młodzieży oraz zespołu grobowców rodziny króla Kongmina. Wojna oszczędziła to miasto. Ponieważ w pobliżu toczyły się rokowania rozejmowe, Amerykanie nie bombardowali Kesongu. Zanim wyruszyłam w dalszą drogę, długo słuchałam rażnej piosenki uczniów maszerujących tuż za hotelowym ogrodzeniem na spotkanie nowego dnia.

Główny cel mojej podróży znajdował się o dalsze dwanaście kilometrów na południe, dokładnie na linii 38 równoleżnika, w Panmundzomie. (Europejskie miejscowości, które można zlokalizować w najbliższym sąsiedztwie tego równoleżnika to Cordoba w Hiszpanii, Palermo na Sycylii we Włoszech i Ateny w Grecji.) Z Panmundzomem związany jest najbardziej dramatyczny rozdział powojennej historii Korei, datujący się od chwili podpisania rozejmu w dniu 27 lipca 1953 roku. I jakkolwiek północnokoreański czas odmierzają imponujące inwestycje, monumentalne budowle czy satysfakcjonujące wyprzedzanie planowych zadań, to całą radość tworzenia przysłania wzbierająca od dziesięcioleci chmura wojennego zagrożenia z Południa.

Przed wjazdem w dwukilometrową strefę zdemilitaryzowaną stoi uzbrojony wartownik. Samochód opatrzonej czerwoną chorągiewką, upoważniającą do zwiedzenia tego terenu, zatrzymuje się w pobliżu zespołu skromnych, parterowych budynków, dokumentujących najnowsze, wciąż nie zamknięte dzieje. Przed jednym z nich napis na obelisku informuje, że w latach 1950-1953 tutaj odbywały się rozmowy dotyczące rozejmu. W pobliżu niski pawilon z płasko wywiniętym dachem, nad którego dolną płaszczyznę widnieje gołąb, ogólnoswiatowy symbol pokoju. W przestronnej sali tylko trzy ciężkie, kwadratowe stoły pokryte zielonym suknem. Tutaj w lipcowy poranek 1953 roku

porozumienie o rozejmie podpisali przewodniczący delegacji prowadzących rokowania: generałowie Nam Ir i Harrison. Klęskę Stanów Zjednoczonych w wojnie koreańskiej ówczesny prezydent USA, Truman skwitował: „Za to porozumienieomal mnie nie ukrzyżowali. Stany Zjednoczone do chwili zawarcia rozejmu straciły 34 tys. żołnierzy, a 103 tys. było rannych”.

Po powrocie z Korei sięgnęłam do źródeł miarodajnych, komentujących finał zwycięskiej dla Korei Północnej wojny. Autorzy radzieckiej „Historii politycznej Dalekiego Wschodu 1945— 1976” wydanej w 1986 roku przez PWN piszą: „Zawarcie porozumienia o rozejmie w Korei było owocem bohaterskiej walki narodu koreańskiego i narodów wszystkich państw socjalistycznych przeciw imperialistycznej agresji na Dalekim Wschodzie, zwycięstwem wszystkich sił pokojowych, demokratycznych i postępowych... Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna, która zaczęła budować państwo socjalistyczne, w ciężkich latach wojny otrzymała ogromną pomoc i moralne poparcie ze strony Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych... Zdecydowane stanowisko ZSRR przekreśliło plany soldateski amerykańskiej, dążącej do przerzucenia działań wojennych na terytorium Chin i użycia w wojnie bomby atomowej”.

Składające się z pięciu artykułów porozumienie o rozejmie od samego początku było naruszane przez stronę amerykańską. Li Syng Man, po utworzeniu w Korei Południowej czterech nowych dywizji, oficjalnie zwrócił się do Stanów Zjednoczonych o pomoc w uzbrojeniu armii. W kwietniu 1954 roku zostały zerwane przez USA i ich sojuszników obrady konferencji genewskiej, podczas których delegacja KRL-D zaproponowała program pokojowego rozwiązania kwestii koreańskiej. Kolejne lata pogłębiły rozłam pomiędzy Północą a Południem, które stopniowo zaczęło przekształcać się w arenę przygotowań do nowej wojny. W „Historii politycznej...” są i takie konkrety: „W 1949 roku Amerykanie posiadali w Korei Południowej pięć wielkich baz wojskowych, a w 1957 roku ich liczba wzrosła do dziesięciu. Stany Zjednoczone i Korea Południowa ignorowały rozsądne propozycje KRL-D zmniejszenia sił zbrojnych po obu stronach. W tym czasie, gdy Koreę Północną opuszczały oddziały ochotników chińskich (1958 r.), a armię KRL-D zredukowano do 80 tys., Stany Zjednoczone wzmacniały potencjał swego południowokoreańskiego sojusznika”. Taka sama liczba żołnierzy amerykańskich stacjonowała w 1960 roku w Korei Południowej, nie licząc ponad tysiąca amerykańskich doradców wojskowych w

południowokoreańskiej marionetkowej armii. W maju tamtego roku amerykańska gazeta „Christian Science Monitor” podała, że 2/3 ludności Korei Południowej żyje w skrajnej nędzy. Były to m.in. skutki kolonialnej, eksploatacyjnej gospodarki USA w tym kraju oraz przerzucony na społeczeństwo ciężar wydatków wojskowych.

Od czasu podpisania rozejmu Korea Północna wielokrotnie przedstawiała stronie przeciwnej konkretne, lecz bezskuteczne propozycje w kwestii pokojowego zjednoczenia kraju. W kwietniu 1971 roku sesja Najwyższego Zgromadzenia Narodowego opracowała 8-punktowy rozwinięty program zjednoczenia, uogólniający wszystkie dotychczasowe oferty. Poparcie dla programu ze strony społeczeństwa południowokoreańskiego oraz zdecydowana walka państw socjalistycznych o rozładowanie napięcia międzynarodowego spowodowały, iż jesienią tego roku zostały nawiązane pierwsze kontakty między organizacjami Czerwonego Krzyża po obydwu stronach 38 równoleżnika w celu wspólnych poszukiwań rozdzielonych rodzin. W lipcu 1972 roku zostało podpisane przez przedstawicieli KRL-D i Korei Południowej pierwsze wspólne oświadczenie dotyczące fundamentalnych zasad zjednoczenia Korei: na drodze pokojowej oraz w oparciu o świadomość i konsolidację narodową. Wkrótce jednak okazało się, że władze południowokoreańskie zlekceważyły to porozumienie.

23 czerwca 1973 roku prezydent Kim Ir Sen w kolejnym, 5-punktowym programie zjednoczenia zaproponował m.in: likwidację stanu konfrontacji wojennej, współpracę i wymianę w dziedzinie polityki, dyplomacji, wojskowości, gospodarki i kultury; zwołanie Wielkiego Zgromadzenia Narodowego z udziałem przedstawicieli różnych środowisk obydwu stron dla wspólnego przedyskutowania problemu zjednoczenia; ustalenie nazwy „Konfederacyjna Republika Korio” oraz występowania pod tą nazwą w ONZ. Bez echa.

Dopiero w 1973 roku stały przedstawiciel KRL-D po raz pierwszy wziął udział w sesji ONZ, gdzie — jak na ironię — każdorazowo rozpatrywana była kwestia koreańska bez udziału strony zainteresowanej. Południowokoreańska koncepcja wstąpienia do ONZ „dwóch Korei”, sankcjonująca definitywny rozłam kraju, poniosła fiasko. W 1975 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ zaaprobowało wysunięty przez 43 państwa na XXX sesji projekt rezolucji „o stworzeniu warunków sprzyjających przekształceniu rozejmu w Korei w trwały pokój i przyspieszeniu samodzielnego pokojowego zjednoczenia Korei”. Przewidywano



w nim m.in. likwidację „dowództwa wojsk ONZ” oraz ewakuację z Południa wojsk znajdujących się pod flagą ONZ. Jednakże błękitna flaga powiewa tam do dzisiaj.

W maju 1980 roku władze południowokoreańskie krwawo rozprawiły się z tysiącami uczestników demonstracji w Kwandzu, którzy żądali demokracji i pokojowego zjednoczenia kraju. W październiku tego roku prezydent Kim Ir Sen na VI Zjeździe Partii Pracy Korei przedstawił 10-punktową propozycję utworzenia Demokratycznej Konfederacyjnej Republiki Korio, nawiązując do wspólnego oświadczenia sprzed ośmiu lat oraz uwzględniając realia po obydwu stronach. Ten polityczny kierunek w pełni odzwierciedla społeczne dążenia i żądania całego narodu koreańskiego, także rodaków żyjących za granicą oraz wskazuje drogę, którą powinna kroczyć zjednoczona Korea. Byłoby to państwo utworzone na zasadzie koalicji Północy i Południa, prowadzące politykę samodzielności, neutralności, demokracji i pokoju.

Zachodnioniemiecki „Der Spiegel” z 22 września 1986 roku, nawiązując do masowych wystąpień studentów seulskich w związku z Igrzyskami Azjatyckimi, pisał: „Właściwym przeciwnikiem wojennym młodych Koreańczyków jest ich rząd, a przede wszystkim prezydent, Czon Du Hwan, były generał wojsk spadochronowych, ostatni sprzymierzony z Zachodem dyktator na Dalekim Wschodzie... Korea Południowa jest państwem policyjnym. Istotnie policja — niewidoczna w cywilu — jest wszechobecna na ulicach stolicy. Samowolnie aresztuje, nawet drobne wykroczenia porządkowe karze wielodniowym aresztem... Warunki pracy przypominają wczesny kapitalizm... Wypróbowanym środkiem reżimu Czona, by zamykać usta niewygodnym krytykom, jest areszt domowy. Na początku roku prezydent polecił osadzić w areszcie domowym kilkudziesięciu opozycjonistów”.

Na linii demarkacyjnej stoją naprzeciw siebie potężne kontyngenty sił zbrojnych Północy i Południa. Po stronie południowej wczesną wiosną przeprowadzono dwumiesięczne amerykańsko-południowokoreańskie manewry pod kryptonimem „Team Spirit 86” („Wspólny Duch”) pozorując m.in. atak jądrowy na KRL-D. Zaraz po ich zakończeniu rozpoczęły się manewry „Tanpol 86” zakrojone na szeroką skalę. Stało się tak jak gdyby w odpowiedzi na wiosenną propozycję pheniańskich władz dotyczącą ogłoszenia przez strony północnokoreańską, południowokoreańską i amerykańską wspólnej deklaracji o

nieagresji wobec siebie. To realia, które towarzyszą konsekwentnym działaniom władz i społeczeństwa Korei Północnej.

Kim Ir Sen świadomy jest zagrożenia, jakie niesie z sobą nierozwiązany problem koreański, stwierdził bowiem: „Jeżeli nie dokona się w najbliższej przyszłości zjednoczenia ojczyzny, to będzie nam trudno obronić niepodległość i suwerenność naszego kraju. Jeżeli nasz kraj nie osiągnie swojej jedności i pozostanie nadal rozbity na Północ i Południe, gdy w sposób skomplikowany splotły się interesy wielu krajów świata i coraz ostrzejsza staje się konfrontacja wojskowa między wielkimi mocarstwami, to nasz naród może znów paść ofiarą sił zewnętrznych i stać się niewolnikiem kolonialnym”.

Samochód z czerwoną chorągiewką wjeżdża pomiędzy zasieki z drutu kolczastego, rozciągniętego na betonowych słupach po obydwu stronach drogi. Tutaj fotografowanie jest zabronione. Przed chwilą w budynku muzealnym obejrzałam setki dokumentów i fotografii ilustrujących ciężką służbę żołnierzy pogranicza na linii frontu oraz film dokumentalny z lat wojny koreańskiej. Spośród zdjęć zapamiętuję szczególnie jedno: wysokie drzewo wyrastające między szynami nieczynnej od czterech dziesięcioleci linii kolejowej Phenian—Seul. Wyobraziłam sobie z jakim entuzjazmem ścinaliby to drzewo Koreańczycy, mający tyle czułości dla wszystkich roślin.

Oto linia demarkacyjna. W równym rzędzie siedem parterowych baraków zwróconych szczytami na północ i południe. W połowie ich długości przechodzi ledwo dostrzegalny kamienny krawężnik, symbolizujący granicę. Przejście na tamtą stronę jest niemożliwe. Pomędzy budynkami stoją żołnierze: północnokoreańscy w okrągłych czapkach, południowokoreańscy i amerykańscy w hełmach z białymi literami MP — Military Police. Jeden z budynków przeznaczony jest do posiedzeń, drugi do kontaktów między Północą i Południem, inny dla żołnierzy Korei Północnej. Jest barak dla żołnierzy z krajów neutralnych (Czechosłowacji i Polski pełniących służbę po stronie Północy oraz Szwajcarii i Szwecji po stronie Południa). W budynku posiedzeń wojennej komisji rozejmowej stojący w poprzek sali stół z mikrofonami podzielony jest wzdłuż kablami telefonicznymi: symboliczna granica. Od czasu zakończenia wojny przy tym stole komisja obradowała 36 razy. Główne problemy to naruszanie zasad porozumienia przez Koreę Południową. Kiedy sala jest pusta, jak dzisiaj, można usiąść przy stole lub „przejść się z Północy na Południe”.

Zanim tu wjechaliśmy, koreański oficer z żółtą opaską na ramieniu pokazał mi na planie, gdzie znajduje się polski „camp”. Za daleko, żeby zdążyć tam wpaść. Ale oto wśród zielonych mundurów dostrzegam znajome insygnia i orzełka na czapce. Po prostu przypadkowe spotkanie z podpułkownikiem Andrzejem Pokrzewnickim, sekretarzem polskiej misji do spraw Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych. Jest czas na wspólną fotografię i wymianę kilku słów. Ppłk Pokrzewnicki przybył tu zaledwie przed miesiącem i niewiele może powiedzieć ponad to, że polskich żołnierzy jest dziesięciu i każdy pełni swoją służbę przez rok. Zaprasza do „campu”. Niestety, w moim programie takiej wizyty nie przewidziano. W jakiś czas po powrocie z Panmundzornu dowiaduje się od polskiego dziennikarza w Górach Miohiang, że poszukuje mnie polski oficer. W ostatnim dniu pobytu w Korei odnalazł mnie w hotelowej restauracji pułkownik lotnictwa z polskim godłem na rękawie. Okazał się nim zastępca szefa polskiej misji płk. Mieczysław Kowieski. Na pożegnanie zostawił swoją wizytówkę z Panmundzornu, wpisując warszawski telefon. To na spotkanie i rozmowę w Polsce, po kończącym się w grudniu roku koreańskiej służby.

Przypominam sobie fotografię przedstawiającą helikopter i grupę żołnierzy wnoszących na ramionach trumnę z prochami zabitych w listopadzie 1955 roku Polaków – członków grupy inspekcyjnej Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych, którzy działali w Korei Południowej. Były też dziesiątki innych zdjęć: amerykańskie wojskowe samochody, czołgi, „Fantomy” i rakiety dostarczone do Korei Południowej wbrew postanowieniom porozumienia o rozejmie. Zestrzelone nad Północą w 1965 roku i w cztery lata później amerykańskie samoloty zwiadowcze „RB-47” i „EC-121” oraz helikoptery (maj 1963, sierpień 1969, lipiec 1977). W styczniu 1967 roku zatopiono na wodach terytorialnych Korei Północnej statek patrolowy nr 56. Ten sam los spotkał w czerwcu 1970 roku uzbrojony statek szpiegowski „I-2”. Podobny statek „Pueblo” dowodzony przez kapitana Lloyda Marka Butchera został zatrzymany w styczniu 1968 roku. Kiedy terrorystyczne próby uwolnienia statku spęły na niczym, zwracając się z prośbą o wydanie załogi Stany Zjednoczone przyznały się na piśmie do prowadzenia przez „Pueblo” działalności szpiegowskiej. Wiele fotografii przedstawia aresztowanych najemnych szpiegów i należące do nich przedmioty. Są też dowody tzw. „incydentu w Pamnundzornie” z 1976 roku, kiedy to w strefie wspólnej ochrony Amerykanie ścięli drzewo, zniszczyli posterunek i złamali szlaban po stronie Korei Północnej. Od tego czasu również tędy przebiega linia demarkacyjna. Zdjęcia dokumentujące pomoc okazaną przez

Północ Korei Południowej, nawiedzanej przez powódź: tysiące worków ryżu, tkaniny, cement, medykamenty. Wtedy linia demarkacyjna została otwarta, podobnie jak podczas pierwszych spotkań niewielkich grup obywateli z Północy i Południa, zorganizowanych dzięki zabiegom Czerwonego Krzyża. Fotografie amerykańskich oficerów wielokrotnie podpisujących dokumenty na temat prowokacyjnej działalności wobec Korei Północnej, a tuż obok — zdjęcia transportów najnowszych typów broni, także jądrowej, wwożonej w strefę zdemilitaryzowaną, która została przekształcona w twierdzę. Inne zdjęcie pokazujące masowe manifestacje w różnych krajach przeciw imperialistycznej polityce USA wobec Korei i zarejestrowaną w listopadzie 1983 roku na linii demarkacyjnej wizytę Ronalda Reagana, który podsycił wśród amerykańskich żołnierzy wojenną psychozę. Fotografie wzniesionej przez Amerykanów i Koreę Południową żelazobetonowej ściany, wysokiej na 5 metrów, szerokiej u podstawy na 10, długiej na 250 kilometrów. Wzdłuż niej po stronie południowej trwają przygotowania do nowej wojny. Co pewien czas powtarzają się też incydenty.

Ostatni, niezwykle dramatyczny, zdarzył się 23 listopada 1984 roku. Żołnierze amerykańscy przeciągnęli na swoją stronę radzieckiego turystę, który chciał przyjrzeć się im z bliska. Kiedy żołnierze północnokoreańscy usiłowali go odebrać, jeden z nich został zabity. Padli również od amerykańskich kul dwaj kolejni żołnierze, zamierzający zabrać sprawcę zajścia i zastrzelonego kolegę.

Major An Hyn Sok, który o tym opowiedział, dzieli się też informacjami o niebezpiecznej sytuacji na linii demarkacyjnej. - - My zabiegamy o to, żeby Półwysep Koreański zamienić w strefę bezatomową. Tymczasem na nasze propozycje Amerykanie odpowiadają manewrami „Team Spirit” i bezustannym dostarczaniem broni. Obecnie na Południu są tysiące głowic raketowych, a wzdłuż linii demarkacyjnej zainstalowano ponad dwadzieścia min jądrowych. Milionową armię południowokoreańską wspiera 140 tysięcy żołnierzy amerykańskich. W czerwcu była tu delegacja gości z Tajwanu. Dwa miesiące wcześniej zobaczyli Koreę Południową i powiedzieli nam, że tam ludzi nie mogą normalnie żyć. Ale Amerykanie codziennie mówią o obronie praw człowieka...

Po południu niebo zasłoniły ciężkie ołowiane chmury. Jedziemy w asyście koreańskiego oficera w kierunku wsi Ha Czen w powiecie Dzan Jon, leżącej na wschód od Kesongu. Trzydziestokilometrowa droga, wijąca się wśród kapuścianych poi i plantacji *insamu* wspina się coraz wyżej gliniastą, nie

utwardzoną serpentyną ku najwyższym wzniesieniom. U celu — samotny, przysadzisty budynek zjedna salą w środku. Na zewnątrz, po drugiej stronie, rozciąga się zasnutą padającym od pewnego czasu deszczem panorama 24-kilometrowej strefy wojennej. Przez lornetkę na statywie obserwuję najbliższy posterunek z flagą południowokoreańską. Przez strugi deszczu dobiega stamtąd głos spikera, następnie muzyka. Na piasku widnieją wielkie, białe litery koreańskie ułożone w wyrazy pozdrowienia — jakoby symbol otwarcia Południa, nie wzbudzający jednak zaufania po tej stronie. Wśród pochyłości zalesionych wzgórz wyrazista mimo zamglenia nie kończąca się smuga muru. Zamierzam zrobić zdjęcia. Towarzyszący mi podpułkownik Hon Sun Gyn ostrzega, żebym nie wychylała się zbyt daleko poza kamienną osłonę, ponieważ z tamtej strony mogliby uznać to za prowokację i odpowiedzieć strzałem. Jestem przecież na punkcie obserwacyjnym pierwszej linii frontu. Podpułkownik dziękuje w imieniu żołnierzy, że dotarłam aż tutaj.

— Nie możemy porozumieć się z Południem, bo tam o wszystkim decydują Amerykanie — słyszę. — Dodatkową barierę nie do pokonania stanowi ta żelazobetonowa ściana, wzniesiona w latach 1976—1979 pod pretekstem obrony przed napaścią z Północy. Przeciw nam skierowane są ich rakiety, a ponad 70 procent wojsk na północ od Seulu stoi w gotowości. Na nasze propozycje pokojowego połączenia kraju odpowiada się manewrami i prowokacjami. Z każdym dniem nasila się niebezpieczeństwo wybuchu wojny. Ostatnio nasze dowództwo podjęło decyzję wysłania 150 tysięcy żołnierzy na pokojowe budowy socjalizmu. Poprzednia wojna doprowadziła wszystko do ruiny. Mimo strat, myśmy odnieśli w niej zwycięstwo. Teraz pragniemy pokoju.

\*\*\*

Panmundzom leży na 38 równoleżniku, Phenian — na 39. Czterdziesty równoleżnik od zachodu przebiega w pobliżu Sinyidzu nad graniczącą z Chinami rzeką Amnok, od wschodu omija Hamhyng w pobliżu portowego Hynnamu nad Morzem Japońskim. Z obydwoma miastami wiąże się obecność Polaków, którzy jeszcze niedawno nadzorowali tam budowę fabryk cegły silikatowej. Mniej więcej pośrodku tej linii na 40 równoleżniku granice trzech prowincji

(Południowy Phenian, Północny Phenian i Czagan) zbiegają się w górach Miohiang. Do tego punktu można trafić, orientując się na najwyższy, 1909-metrowy szczyt Piro. Nazwa ta bywa myląca, ponieważ w Kymgang-san (Górach Diamentowych) na południu kraju, spośród dwunastu tysięcy opalizujących wierzchołków, najwynioślej — na poziomie 1638 metrów — wspiera się o nieboskłon również szczyt Piro.

*Mio* znaczy zachwycająca uroda, *hiang* — aromat, co łącznie dało górcom nazwę Pachnących. Byłam tam zaledwie dwa dni, o wiele za mało, by dokładnie spenetrować najpiękniejsze miejsca, na których stworzenie natura nie poskąpiła wyobraźni. Fantazyjnie rzeźbiony granitowo-gnejsowy masyw kryje pod maskującą z daleka zielenią wspaniałe wąwozy, rozpadliny, pieczary i wodospady, z których niemal każdy ma swoją legendę. *Manphokdon* to wąwóz dziesięciu tysięcy wodospadów (*mań* to w ogóle bardzo dużo, niezliczona ilość). Do kilku z nich dobrnęłam po mokrych, skalistych stopniach, nie żałując wysiłku. Tu właśnie rzuca się z wysoka dziewięciostopniowy *Kuczhyŋ*, świetlisty *Pison* kojarzący się turystom koreańskim z jedwabną szatą lecącej nimfy i *Muryn* — roziskrzony niepewnymi refleksami słońca spoza mgły. W wąwozie Sanwondon, nad którym panuje 1395-metrowy szczyt *Popwan*, zwany też *Manmulsan*, czyli dziesięć tysięcy fenomenów, wodospad wygląda jak wznoszący się właśnie do lotu biały smok. To Rionion. Tuż przy nim pochyla się nad swoją zamierzchłą świetnością buddyjska świątynia Sanwon. W pobliżu przycupnęła też mała świątynia Pulen, gdzie dotrwały do naszych czasów „Lidzosillok”, kroniki dziejów i pięciowiekowego panowania dynastii Li. U stóp wąwozu na użytek turystów został skompletowany cały skansen zrekonstruowanych, wspaniałe zdobionych świątyń oraz przynależnych im pawilonów i pagód.

W pawilonie *Teun* ze świątyni *Pohen* pokłoniłam się poślacanej rodzinie buddyjskich świętych, do których, co widać po używanych przedmiotach kultu (kołatkach i wetkniętych w naczynie z piaskiem nadpalonych laseczkach kadzidła), od czasu do czasu zagląda jakiś zagraniczny lub miejscowy wyznawca. Obok, w pawilonie Czangen, przechowywane są drewniane bloki, przy pomocy których wydrukowano przed wiekami „Wielki zbiór świętych pism buddyjskich”. Pośród tych zamierzchłych budowli odniosłam wrażenie, że stąpa za nami duch niegdysiejszego gospodarza, świątobliwego mnicha Sosana.

O religii w Korei nie mówi się. Religii nie ma. Podobno tylko najstarsi odwiedzają jedyną czynną w Phenianie i jedną w Miohiang świątynię buddyjską, chociaż

słyszałam też, że w trzystu świątyniach służy kilkuset mnichów. Kościoły katolickie, wznoszone niegdyś przez amerykańskich misjonarzy, nie istnieją prawdopodobnie w ogóle. W sali posiedzeń stołecznego muzeum Partii Pracy Korei, gdzie naprzeciw siebie wiszą portrety Marksa i Engelsa, Lenina i Stalina, a w centrum starannie wykonany wizerunek Kim Ir Sena, zagadnęłam o te sprawy przewodniczkę, Rem Mion Hi. Oto, co usłyszałam:

— Jestem dumna z mojej profesji, bo my także wnosimy wkład w edukację młodego pokolenia, które wychowuje się na rewolucyjnych tradycjach. Zaraz po wyzwoleniu, w 1945 roku, było u nas bardzo dużo ludzi religijnych, zwłaszcza chrześcijan. Problem ten został rozwiązany w latach 1950—1953, kiedy ludzie modlili się, żeby przestały spadać bomby. Ale Amerykanie, którzy wprowadzili katolicyzm, bombardowali także kościoły. Wtedy wszyscy przestali wierzyć w ich Boga.

Nad stromymi brzegami dopiero co „rodzącej się” z wodospadów rzeczki znalazło się miejsce na stały obóz pionierski i — zharmonizowany z przyrodą — monumentalny obiekt nazywany Wystawą Przyjaźni Między Narodami. W ciągu roku i czterech miesięcy powstała masywna i jednocześnie lekka, sześciokondygnacyjna konstrukcja, pełna krużganków i tarasów, nad którymi spiętrzone po koreańsku czterospadowe dachy w stylu *hapkak* pokryte niebieską dachówką i fantazyjnie wymalowane pod spodem. Ta architektoniczna osobliwość nie posiada okien, za to do wnętrza prowadzą czteroskrzydłowe, rzeźbione w miedzi wierzeje o łącznej wadze szesnastu ton. Wewnętrzne ściany i sufity zdobią reliefowe płaskorzeźby wyobrażające kwiaty azalii, magnolii i *kimirsenhwa* (legenda współczesna głosi, że tak nazwał pewną odmianę indonezyjski hodowca, a syn po jego śmierci przesłał kwiaty Kim Ir Senowi), a na podłogach leżą ręcznie tkane puszyste kobierce.

Obiekt jest wielkim skarbcem, gdzie zgromadzono ponad dwadzieścia pięć tysięcy podarunków, które zostały przekazane prezydentowi przez głowy państw, przywódców partii i rządów oraz organizacji rewolucyjnych z około 150 krajów. Pół dnia zwiedzania niezliczonych sal z oszklonymi gablotami wielkości szaf to jak gdyby wycieczka na wszystkie kontynenty — panoramiczny przegląd wspaniałych okazów rękodziela, zdobnictwa i sztuki użytkowej. Szlachetne kamienie i metale, kość słoniowa, tkaniny, dywany, meble, porcelana itp.

Te oryginalne dowody przyjaźni uzupełniają to, co dla narodu koreańskiego było odczuwalne już przed laty, zwłaszcza w okresach szczególnie dramatycznych. Podczas wojny w latach 1950—1953 Związek Radziecki zaopatrywał Koreańską Armię Ludową i ochotników chińskich w broń i amunicję, transport, paliwo, żywność i medykamenty. Pomagali też radzieccy doradcy wojskowi. Również Chiny i inne kraje socjalistyczne wysyłały do Korei żywność, leki, odzież, obuwie, tkaniny. Polska była wśród tych krajów, które przyjęły na wychowanie osierocone przez wojnę dzieci. Liczne grupy sierot wychowywały się w Gołotczyźnie, skąd następnie przeniesiono je do Świdra. O Gołotczyźnie napisał wzruszającą książkę „Dom odzyskanego dzieciństwa” Marian Brandys. Natomiast Monika Warneńska w „Karolinie z Diamentowych Gór” wysyła swoją bohaterkę do grupy małych Koreańczyków, którzy rzeczywiście przebywali w Płakowicach koło Wrocławia.

O wielkim społecznym poparciu dla walczącego narodu koreańskiego świadczył też światowy ruch przeciwko wojnie. Pod hasłem „Ręce precz od Korei” w całej Polsce odbywały się masowe wiece solidarnościowe.

Polska także wyekspediowała do Korei wiosną 1953 roku, a więc jeszcze w czasie trwania działań wojennych, pierwszą ekipę personelu medycznego, który tworzył kadrę szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża na północy kraju, w pobliżu miejscowości Hyczhon. Jednym z lekarzy był prof. dr hab. Piotr Boroń, pracownik naukowy Akademii Medycznej w Białymstoku, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych. W Korei znalazł się jako młody lekarz — ordynator interny tamtejszego szpitala. Polski personel pracował wraz z koreańskimi kolegami. Szpitalne namioty, sztaśasy i lepianki rozrzucone były wśród gór. W prymitywnych warunkach i w bezustannym zagrożeniu trzeba było szybko stawiać na nogi pacjentów, przede wszystkim żołnierzy powracających na front. Na chirurgii wykonywano operacje, interniści leczyli — jak wspominał mi profesor — robaczycę, distomiazę płucną (chorobę pasożytniczą wywołującą komplikacje w układzie oddechowym), malarię i wiele innych schorzeń, których nie szczydziły ludziom katastrofalne warunki wojennej egzystencji.

Wraz z tą pierwszą ekipą przybył do Korei Andrzej Braun. Po powrocie zawarł swoje refleksje z lat 1953—1954 w książce zatytułowanej „Blask ciemności”. Z tamtego okresu wywodzi się też książka „Trzy czwarte prawdy” Henryka Korotyńskiego, który był w Korei korespondentem wojennym, podobnie jak



autorzy wspomnień: Bronisław Wiernik, Lucjan Pracki, Halina Krzywdzianka i Marian Bielicki. Wstrząsającym dokumentem stały się „Pamiętniki lekarzy”.

Po zakończeniu wojny polscy pracownicy służby zdrowia pozostali w Korei nadal. Pierwszy zespół powrócił wprawdzie do kraju w końcu grudnia 1953 roku, ale po nim działali w zrównanej z ziemią Korei lekarze w dwóch kolejnych ekipach szpitalnych, lecząc i prowadząc jednocześnie pracę dydaktyczną. W 1957 roku Monika Warneńska, autorka m. in. książki reporterskiej „U podnóża Gór Diamentowych” zastała jeszcze w Korei polską grupę konsultantów medycznych. Obecnie wśród koreańskich profesorów i docentów szpitala klinicznego Akademii Medycznej w Hamhyngu są dawni współpracownicy polskich lekarzy ze szpitala PCK.

Na trasie licznych polskich śladów znajdują się zakłady naprawy taboru kolejowego i zakłady chemiczne w Wonsanie nad Morzem Japońskim, miasto Czongdzin odbudowane według planu polskich urbanistów oraz wzniesiona przy współudziale polskich inżynierów fabryka elektrowozów i lokomotyw spalinowych w Phenianie.

Skoro mowa o Polakach, których losy związały się z Koreą, to nie od rzeczy będzie wspomnieć o pionierskiej pracy Władysława Sieroszewskiego, podróżnika, żołnierza, działacza-socjalisty, zesańca i pisarza. Przebywając na zesłaniu w Irkucku miał on możliwość spenetrowania Dalekiego Wschodu. W 1903 roku zwiedził Koreę, a w dwa lata później wydał studium krajoznawcze „Korea — klucz Dalekiego Wschodu”. W następnym roku ukazała się jego opowieść „Ol-Soni Kisari”, której tematem były dramatyczne losy koreańskiej tancerki.

A skoro mowa o pionierskich publikacjach, to tym bardziej nie można pominąć tego, co w ostatnich latach robi w tej dziedzinie Halina Ogarek-Czój, jako jedyna w Polsce zajmująca się problematyką literatury i kultury koreańskiej, z uporem kształcąca nielicznych filologów na Uniwersytecie Warszawskim. Poza wymienioną już przeze mnie książką, napisała: „Pradzieje i legendy Korei” (1981) oraz — ostatnio — „Mitologię Korei”.

Równie wymierna była pomoc państw socjalistycznych po zakończeniu wojny i w trakcie odbudowy i rozbudowy Korei. Dostarczano pełne wyposażenia fabryk i różnorodne urządzenia dla przemysłu i rolnictwa oraz najnowsze osiągnięcia myśli technicznej.

Współpraca z Koreą Północną nadal rozwija się skutecznie. W jednym tylko hotelu „Pyongyang” odnotowałam w ciągu kilku dni obecność specjalistów wielu

dziedzin z krajów socjalistycznych. Siergiej Aleksiejewicz Buszmin z Leningradu przybył tu przeprowadzać badania geologiczne w górach. Michaela Irimia z Uniwersytetu w Bukareszcie przyjechała na trzy miesiące, jako konsultant UNESCO. Dr Karoly Futaki i dr Gabor Balint z Węgier jako eksperci Światowej Organizacji Meteorologicznej pracują nad utworzeniem systemu prognoz hydrologicznych i opracowywania danych na mikro-EWM dla potrzeb służby hydrometeorologicznej KRL-D. Profesor Aleksander Atanasow z Bułgarii zajmuje się inżynierią elektroniczną, a dr Bohdan A. Fitak z Akademii Medycznej w Warszawie przyjechał tu prosto z Delhi jako konsultant Światowej Organizacji Zdrowia. Wreszcie — inżynier Henryk Rybak, o którym już wspomniałam, od wielu miesięcy mieszkaniec „mojego” hotelu. Wraz z grupą polskich specjalistów nadzoruje budowę trzeciej już w Korei fabryki cegły silikatowej.

Wielką pomoc okazują ojczyźnie Koreańczycy mieszkający w Japonii. 25 maja 1955 roku utworzono „Czhonrion” — stowarzyszenie obywateli koreańskich w Japonii. Skupia ono przedstawicieli różnych środowisk 700-tysięcznej społeczności. „Czhonrion” upowszechnia idee dzucze, prowadzi własny system szkół, walczy o wszystkie należne prawa, w tym — prawo wyjazdów do kraju przodków.

Cieszy się sympatią postępowych środowisk japońskich, chociaż niejedną jeszcze przeszkodę musi pokonać. Szkoda byłoby nie zacytować kilku uwag z książki Janiny Rubach-Kuczewskiej „Życie po japońsku”:

„Po zakończeniu wojny na wyspach Nipponu było około trzech milionów Koreańczyków, gdyż podczas kolonialnego panowania w Korei (1910—1945) Japończycy rekrutowali stamtąd siłę roboczą, zmuszając obywateli tego kraju do niewolniczej pracy między innymi w kopalniach, przy fortyfikacjach, w fabrykach i zasilając nimi szeregi armii cesarskiej (wcielono do niej 370 tysięcy koreańskich mężczyzn). Dopiero w 1974 roku oficjalnie podano tu do wiadomości, że w czasie eksplozji bomb atomowych zrzuconych przez Amerykanów na Hiroshimę i Nagasaki zginęło tam wielu Koreańczyków. (Tylko w Nagasaki 3 tysiące robotników zatrudnionych w zakładach zbrojeniowych.) Po długich staraniach tutejszym organizacjom, skupiającym ludzi pochodzenia koreańskiego, udało się w końcu wybudować w Hiroshimie, po drugiej stronie rzeki, obelisk upamiętniający śmierć tych, o których nawet nie wspomniano cytując długie, coraz dłuższe listy ofiar atomowego ataku.

Ogromna większość Koreańczyków po wojnie wróciła na ziemię rodzinną.. Dziś mieszka ich tu (w Japonii — K. K.) około 600 tysięcy, z czego 75 procent to już drugie lub trzecie pokolenie emigrantów. A jednak i oni są dyskryminowani, mimo że —jak pisał kiedyś dziennik «Mainichi Shimbun» — w japońskich żyłach płynie wiele koreańskiej krwi, gdyż już w czasach przedhistorycznych, a następnie między VIII i XII wiekiem wielu przybyszów z Korei osiedliło się w Japonii i kolonizowało nawet całe wsie. Słowo «dyskryminacja» bynajmniej nie jest przesadne, zważywszy, że mieszkańcom Japonii pochodzenia koreańskiego nie przysługuje ani czynne, ani bierne prawo wyborcze. Szkoły japońskie niezbyt chętnie przyjmują ich dzieci —- jest tu 160 podstawowych i średnich szkół koreańskich. Uzyskać obywatelstwo japońskie jest trudno. Wielkie przedsiębiorstwa niechętnie angażują pracowników, zwłaszcza umysłowych, należących do tej mniejszości”.

Ci, którym się powiodło i którzy czują się związani emocjonalnie z Koreą, przybywają tu coraz częściej, pozostawiając serca i pieniądze, jak chociażby inicjator budowy luksusowego szpitala w Phenianie — doktor Kim Man Ju. Od rodaków żyjących poza granicami kraju płynie też poparcie dla wszelkich pokojowych inicjatyw zmierzających do zjednoczenia kraju. Lecz finał tych starań wydaje się odległy...

Phenian — Białystok 1986